



Hit „Do Rzeczy”

10 najlepszych tekstów z 2020 r.

- **Cejrowski** mówi o kagańcu dla sędziów
- **Lisicki**: Historia jednego fałszerstwa
- **Zychowicz** zdradza szczegóły operacji „Davies”
- **Żebrowski** o zrzucaaniu na Polaków win Niemców
- Rasizm urojony według **Warzechy**
- **Komuda**: Jak zostałem homofobem
- Mosbacher – ambasador czy **nadambasador**
- **Masłoń** o przemienieniach Szczepana Twardocha
- **Semka** o Zjednoczonej Prawicy nad krawędzią
- **Ziemkiewicz**: Chcesz być w UE, szukaj polexit



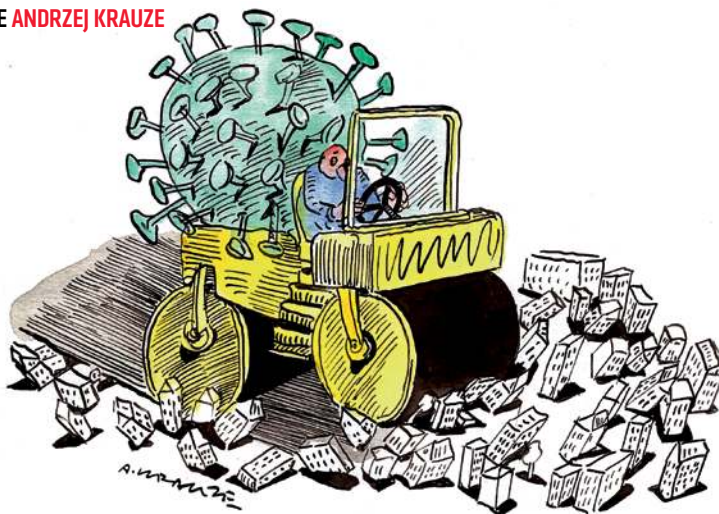
PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Lista przebojów „Do Rzeczy”

Dla wszystkich Polaków ostatni rok, ze względu na epidemię koronawirusa, był czasem nadzwyczajnym. Również dla nas w „Do Rzeczy”. Mogliśmy go przeżyć dzięki Państwa obecności, zainteresowaniu i uwadze. Mimo że trudny, nie był to jednak z pewnością rok stracony. Postanowiliśmy to dodatkowo pokazać. Dlatego przygotowaliśmy dla Państwa 10, naszym, redakcyjnym zdaniem, najważniejszych tekstów, które ukazały się na łamach „Do Rzeczy”. Wierzmy, że strach i lęk wywołany przez pandemię wkrótce miną, podobnie jak, mamy nadzieję, pamięć o nich. Dobre artykuły i wywiady, do których czytania zachęcam, na szczęście pozostaną. ©©

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



REKLAMA



Hity

„Do Rzeczy”

Wszystkie nasze oferty znajdziesz na prenumerata.dorzeczy.pl



„DO RZECZY”, WYDANIE SPECJALNE, CZĘŚĆ 8.
Hity „Do Rzeczy” z 2020 r.

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPÓŁEM:
Sekretariat redakcji:
Jacek Przybylski (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji),
Radosław Wojtas

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gódek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojarczyk, Grzegorz Brzozowicz,
Wojciech Cejrowski, Wiesław Cheliniak, Dominika Coś (Bruksela),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn,
Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel,
Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska,
Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torajski, Szwach Weiss,
Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wólczyk, Jakub Wozinski,
Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje Karol Gac z zespołem: Zofia Magdziak
(zastępca), Antoni Trzmiel (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej),
Zuzanna Dąbrowska (także Radio Maryja), Anna M. Piotrowska,
Małgorzata Puzyr, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Przemysław Harczuk (także „Super Express”), Paweł Zdziarski.

Studio graficzne: Wojciech Niedziello (szef studia),

Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski
Fotoredykcja: Edyta Bortnowska, Przemysław Trzczyk

Korekta: Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz

Rysownicy: Andrzej Krauze, Cezary Krzysztopa

ISSN 2300-2034

WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Iłona Weiss, Jolanta Kłoc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki



FOT. COPYRIGHT W. CEJROWSKI LTD (JUT. BARTOSZ WRODZIŃSKI)

Jesteśmy szachownicą dla UE i dla Rosji



Z Wojciechem Cejrowskim
rozmawia Maciej Pieczyński

MACIEJ PIECZYŃSKI: Kto będzie kandydatem Wojciecha Cejrowskiego na prezydenta: Andrzej Duda czy Krzysztof Bosak?

WOJCIECH CEJROWSKI: Swojego kandydata miałem raz – Marka Jurka. Stanowisko prezydenta jest w Polsce symboliczne. Owszem, można by sporo zrobić nawet na tym symbolicznym urzędzie, ale... trzeba by mieć tam mężczyznę, a do tego siłę w Narodzie popierającą działania tego mężczyzny. Siłę, która do niewielkich uprawnień formalnych dodawałaby moc ulicy. Piłsudski miał tę siłę nawet, gdy siedział w Sulejówku, a urzędy piastowali inni.

Dzisiaj w Polsce jest zasadniczo obojętne, kto jest prezydentem. Ponieważ nie jesteśmy w stanie obalić tego złego systemu i uchwalić sobie (z woli Narodu/ulicy) nowej konstytucji, całkiem innej od systemów obowiązujących w UE, to... nie ma znaczenia, kto będzie kolejnym prezydentem. Dobra... znaczenie jest,

ale kosmetyczne. Duda się nie upija i nie skacze po meblach. Bosak też nie.

Tak czy inaczej trudno dostrzec jakiekolwiek szanse kandydata Konfederacji. Zapewne więc Andrzej Duda będzie jedynym liczącym się kandydatem prawicy na prezydenta. Lewicowej „prawicy”.

Podsumowując kadencję urzędującego prezydenta... Za co najbardziej by go pan pochwalił?

Za nic. Urzędników się recenzuje i raczej szuka błędów, niż chwali. Oni chwalą się sami, my już nie musimy. Gdy sprawdzamy komuś maturę z matematyki, szukamy błędów i to nie jest złośliwe, lecz normalne. A gdy błędów nie ma, piszemy, że zdał i tyle.

A za co by go pan najbardziej skrytykował?

W ramach swoich uprawnień przypinał order, ale powinien też wiele odebrać. Nadawał tytuły profesorskie, a powinien wiele odebrać. Skoro ma uprawnienia do nadzwyczajnego uniewinnienia, to ma też – per analogiam – prawo do nadzwyczajnego wznowienia sprawy niesłusznie zamkniętej. Nie

odbierał tytułów generalskich, a wiele powinien. Mianował nowych ambasadorów, a ważniejsze byłoby, gdyby wielu usunął, i KONIECZNIE powinien. Zapraszał, a ja bym chciał, by także wypraszał kogo trzeba. Nie wchodził w konflikty, gdy trzeba było i mógł. Nie usłyszałem z jego ust nigdy mocnego słowa, a powinienem: „Nie podpiszę wam tego gównianego budżetu. Proszę mi przynieść inny! Taki, który nie zadłuża Ojczyzny”.

Skoro podjął się tej roboty, powinien dokładnie przeczytać instrukcję obsługi stołka – zobaczyć, co mu wolno, i skorzystać z uprawnień w sposób, którego nikt się nie spodziewał. Mógłby przynajmniej wylansować jakąś polską markę, bo nie mamy żadnej marki międzynarodowej. Finlandia ma Nokię i wódkę, a to nie jest kraj większy ani lepszy od Polski. Dania ma czekoladę, Ekwador ma banany. A my?

Na wszystkich przyjęciach dyplomatycznych, które Duda organizował, powinno być zawsze wyłącznie polskie żarcie: polska kiełbasa, pierogi i polskie miody do picia zamiast wina. I powinien organizować takie przyjęcia, by o nich wszyscy pamiętali i bili się o zaprosze-

nia. Bolesław Chrobry był mężczyzną. Najpierw przewioził cesarza Ottona przez nasz kraj, chwalać się Polską, potem przez trzy dni stawiał żarcie, a po wszystkim kazał zapakować srebrne i złote naczynia i podarował je cesarzowi w prezencie. Tak się robi politykę.

Mój śp. Ojciec zabrał kiedyś do katedry w Pelplinie Ellingtona – bardzo sławnego muzyka jazzowego z USA. W dzieciństwie Ojciec służył w tej katedrze do Mszy Świętej biskupowi, więc miał chody. Zwiedzili średniowieczny zabytek, a potem Ojciec sadza Ellingtona przy organach, które są starsze niż Stany Zjednoczone, i pozwala mu zagrać. Koncert jazzowy na zabytkowych organach. Ellington pyta, czy może jeszcze zagrać... rock and rolla. Ojciec mu na to mówi: „Graj! Tylko głośno!”. Ellington opowiadał o tym potem w USA przez całe lata, za każdym razem, gdy ktoś wspominał o Polsce. Mój Ojciec, nawet w ramach bardzo ograniczonych uprawnień, umiałby wycisnąć z urzędu prezydenckiego więcej niż Duda. Wycisnąć dla Polski. Tak żeby długo pamiętali i dobrze wspominali. To nie jest wina Dudy ani żadnego innego kandydata, ale jest to ich cecha – nie mają fantazji ani pomysłów spoza pudełka z pomysłami, które stało na biurku, zanim przyszli. Wszyscy są tacy sami – nijacy.

Duda gościł amerykańskich generałów. Nie słyszałem potem, by któryś opowiadał w USA: prezydent Polski zabrał mnie na polowanie i polowałem na bizona. Wiedziałeś, że oni tam mają bizona?

Czy Andrzej Duda ma z kim przegrać?

A kto jest w zestawie pionków?

Zacznijmy od niżej notowanych kandydatów. Nie przepada pan za PSL, ale Władysław Kosiniak-Kamysz ostatnio zrobił się bardziej konserwatywny, przed wyborami dogadał się z Kukizem, przez co głosi więcej wolnorynkowych postulatów... Wierzy pan w tę zmianę?

PSL jest jak prostytutka, daje każdemu, byleby zarobić. A Kosiniak-Kamysz nie ma twarzy prezydenckiej i słabo gada. W przypadku, gdy osobowość się nie liczy, twarz musi być przyjemna. Nie jego wina, ale ma twarz jak pupka. Może powinien zapuścić brodę lub wąs Witosa. Już na sam wygląd jest zbyt miękki na przywódcę. Gdybym był z Kosiniakiem-Kamyszem w knajpie i zaczęłyby się bijatyka, nie liczyłbym na to, że mnie obroni. A tego właśnie oczekuję od prezydenta – że nas obroni.

Małgorzata Kidawa-Błońska miała być nową, lepszą twarzą Platformy. Bo taka sympatyczna, otwarta, konciliacyjna... Domyślam się, że do poparcia PO nikt nie byłby w stanie pana namówić, ale może na tle swoich partyjnych kolegów Kidawa-Błońska sprawia przynajmniej dobre wrażenie?

Z buzi dama, owszem. I z polskich polityków żeńskich najlepiej zrobiona – włos, makijaż, biżuteria. Nie wygląda jak chłop z broszką (i tu akurat, wbrew pozorom, myślę o Merkel), nie wygląda jak wredna baba z bazaru (i tu zgodnie z przypuszczeniem, myślę – owszem – o Kopacz). Nie wygląda też wcale jak Róża Thun. Czyli z wyglądu ma dużo zalet. Innych zalet nie ma wcale. Margaret Thatcher umiała na pastnika obezwładnić za pomocą torebki, Kidawa-Błońska... nie widzę jej w roli osoby wydającej rozkazy generałom.

Kandydatce Platformy głosy zabierze pewnie Szymon Hołownia. Był pan kiedyś jego gościem w programie TV Religia. To było starcie konserwatywnego „katola” Cejrowskiego z liberalnym „fajno-katolikiem”. Stwierdził pan wówczas, że Hołownia „sam się wykluczył z Kościoła”. Jednak to przecież publicysta katolicki, tyle że bardziej liberalny...

Wodzirej z TVN? Nie studiuję twórczości tej grupy. Papież Franciszek też bywa od czasu do czasu „liberalnym publicystą katolickim” i wtedy ta twórczość cuchnie herezją. Tamto nagranie w TV to był rok 2012? Już wtedy nie powinien dostawać Komunii Świętej – w sprawie aborcji oraz związków sódomych Hołownia publicznie przeczy doktrynie Kościoła.

A czy ma szansę namieszać w polskiej polityce?

To zależy, kto go wyznaczył i kto go niesie. Takimi rzeczami jak kandydatury prezydenckie w Polsce nie rządzą Naród ani wolny rynek, ani swobodny wybór. Kandydaci są wyznaczani. Jesteśmy szachownicą dla UE i dla Rosji. Głosujemy, ale przy szachownicy siedzą gracze ukryci i to od nich zależy, kogo zbiją, a kto ostatecznie zostanie. Pionek na szachownicy może sobie nie zdawać sprawy z tego, że ktoś go posuwa, ale to nie pionek prowadzi tę grę. Hołownia jest raczej adiutantem niż generałem.

Namieszać na pewno miał prof. Tomasz Grodzki. To dopiero miała być nowa twarz PO. „Marszałek jest człowiekiem uczciwym, lekarzem z powołania, a jest obrzydliwie atakowany, bo jest śmiertelnym zagrożeniem dla PiS jako symbol zwycięstwa w Senacie” – powiedział Tomasz Siemoniak, broniąc Grodzkiego w sprawie zarzutów korupcyjnych. Jak pan to skomentuje?

Nie musiał pan cytować. Gdy wiem, kto się wypowiedział, nie muszę już słyszeć co powiedział, bo wiem z góry, co powie. Pan też wie. Każdy nasz czytelnik wie. Politycy są jak katarynki i mają rozpisane role. Nigdy poza te role nie wychodzą.

Grodzki jeździł do Brukseli w sprawie polskich ustaw sądowych, zaprosił do Polski Komisję Wenecką... W zasadzie prowadzi równoległą do MSZ politykę zagraniczną. Co PiS powinien z tym fantem zrobić?

Ważniejsze jest, co z tym fantem zrobił – nic.

PiS cieszył się z wyboru Ursuli von der Leyen na szefową Komisji Europejskiej. Tymczasem jej zastępczyni – Věra Jourová – postępuje wobec Polski podobnie jak wcześniej Timmermans. A nawet idzie dalej – próbuje ingerować w polskie ustawodawstwo sądownicze jeszcze w trakcie ich procedowania. To Unia taka silna czy Polska taka słaba?

Brak mężczyzny: „A jeżdżaj mi, babo, stąd! Polska jest niepodległa, ja zostałem demokratycznie wybrany na prezydenta, a ty, babo, zostałeś jedynie mianowana na swój stołeczek, więc zjeżdżaj. Marszałek Senatu wszedł w moje kompetencje prezydenckie, z nim sobie pogadam potem, ale ty, babo, od razu wynocha! Wygrasz wybory w Polsce, to pogadamy, ale teraz WON”. Takie mniej więcej miałbym oczekiwanie wobec prezydenta Dudy w tej sprawie. Oczywiście ja mu tu napisałem tylko taki bryk, jeżeli chciałby zmodyfikować gramatykę i styl na bardziej osobisty, proszę bardzo, choć zasadniczo wcale nie ma po co. Niech zacytuje wprost.

Tym razem powodem świeckiego oburzenia Komisji Europejskiej jest ustawa wprowadzająca odpowiedzialność dyscyplinarną sędziów m.in. za kwestionowanie wyboru innych sędziów czy za „działalność publiczną niedającą się pogodzić z zasadami niezależności sądów i niezawisłości sędziów”. PiS mówi, że takie rozwiązania są potrzebne, żeby skończyć z upolitycznieniem sądownictwa. Opozycja mówi, że to „ustawa kagańcowa”, zamach na wolność i pierwszy krok do polexitu. Może więc Wojciech Cejrowski ucieszyłby się, gdyby z powodu wojny z sędziami wyrzucono nas z Unii?

Polexit to nie to samo co wyrzucenie z UE. Exit znaczy wyjście – samodzielne i suwerenne, a wyrzucenie to działanie wbrew woli uczestnika dyskoteki, którego wyklądają wystawia za drzwi. Na wyrzucenie z Unii trzeba by wymyślić inne słowo (polwon, polgo), ale zasadniczo jest mi obojętne, w jaki sposób Polska opuści UE; byle wreszcie opuściła ten klub zadłużo-

nych bankrutow jadących na deficycie, klub otwartych granic, przez które wlewa się terroryzm, klub tęczowych nauczycieli wuefu.

Czy naprawdę cieszyłby się Wojciech Cejrowski rolnik? Przecież Unia taka hojna, dotacje daje!

Dotacje psują wolny rynek i prowadzą do zadłużenia. Gdy istnieją dotacje, robi się całą masę inwestycji nierynkowych lub nikomu niepotrzebnych – bo jest forsa do wzięcia i władza będzie głupio wyglądała, gdy nie weźmie. Bierze więc i buduje coś na wyrost, coś niepotrzebnego – za cudze pieniądze stawia się rzeczy niekoniecznie potrzebne, przydatne i rentowne. Gdy inwestuję własną forszę, oglądam każdą złotówkę pod światło, czy aby na pewno warto wydać. I buduję oszczędnie. Dotacje są słodkie, ale niezdrowe – jak cukierki, od których wypadają zęby.

Dotacje do rolnictwa powodują, że ceny na produkty rolne są niezdrowe z ekonomicznej strony. Urzędnik reguluje wysokość dotacji, czyli ustala ceny żywności, a w kapitalizmie ceny powinny ustalać wolny rynek. Potem, nagle, na dotacje brakuje forsy (bo... nastąpił brexit i jest mniej składek) i wtedy rynek się wali.

Stryj mi od kilku lat tłucze do głowy, że mam OBOWIĄZEK brać dotacje: „Okradają cię wysokimi podatkami, to sobie przynajmniej trochę odbierz w formie dotacji do swojej ziemi”. I... stryj chyba ma rację. Ja tę odzyskaną forszę zainwestuję lepiej i stworzę więcej miejsc pracy, niż stworzyłoby państwo z moich podatków.

Wie pan, za co Unia płaci? Mam kilkanaście hektarów łąki. Z powodu unijnych utrudnień w hodowli nie puszczam tam na razie bydła. Dotacja do łąki, której się nie uprawia nowoczesnymi metodami, lecz kosi za pomocą starej ręcznej kosi – ochrona żabek, zaskrońców i polnych myszy – dotacja do takiej łąki jest dużo wyższa niż to, co mogę zarobić, gdybym zbierał siano traktorem. Czyli bardziej mi się opłaca, gdy łąka nie jest wykorzystywana gospodarczo. I chyba tak właśnie zrobię – co mi obca przemoc wzięła (w podatkach), kosą odbierzemy. Przelecę łąkę kosą, a oni mi za to zapłacą. Za technologiczne cofnięcie się w rozwoju do czasów pierwszej wojny światowej!

Tak, wiem, że Unia nas demoralizuje, okrada z pieniędzy i odbiera nam niepodległość. Jednak na razie jakoś musi pan sobie radzić i prowadzić biznes w zdemoralizowanym, okradanym i podległym Unii kraju. Przecież pan sobie radzi...

Jak w obecnym układzie karać lub zablokować władzę sądowniczą? Ta jedna z gałęzi władzy nie odpowiada przed nikim, poza samą sobą

Radzę sobie świetnie, ale radziłbym sobie dużo lepiej w Polsce położonej poza Unią. Coraz więcej kapitału inwestuję za granicą. Czy o to nam chodziło? O taką Polskę? Nie wszyscy mogą tak jak ja wyprowadzić część interesów za ocean.

Sprzedaję moje żyto do piekarni Machela. Przepiękna rodzinna firma piekarska. Założył ją ojciec, potem przekazał w ręce synów, zięciów i szwagrów. Mają już kilkanaście piekarni w Kotlinie Kłodzkiej. Mieliby sto, gdyby tu panował zdrowy wolny kapitalizm, wolny rynek. Tak, my, rzemieślnicy, rolnicy, producenci, „musimy sobie radzić”. A ja bym wołał, żeby Polski przedsiębiorca wyzwolił się kiedyś z tego „musimy” i mógł wreszcie rozwinąć skrzydła bez ograniczeń. Jakich? Przykład: produkuję najczystsze żyto – od wielu lat pola nie były przyskane ani nawożone żadną chemią – ale UE utrudnia mi jego sprzedaż. Nie mogę na etykiecie napisać „eko”, „bio”, „zdrowa żywność” – wszystkie te słowa są w Unii zarejestrowane i oznaczają żyto gorsze od mojego. Gdybym nie był pisarzem, to nie umiałbym znaleźć słów na etykietę, za pomocą których mogę podać prostą prawdę. Za komuny zajmowaliśmy się omijaniem głupich przepisów i teraz podobnie. Przykład drugi: wyprodukowałem ostry sos z papryki. Mogę go sprzedawać prosto z gospodarstwa i sprzedaję, ale żeby go w piekarni Machela postawić na półce obok chleba, przechodzę „procedury”. Trwają już ponad pół roku. Przed wojną odpowiedzialność za mój sos brałbym ja przed sklepikarzem, a sklepikarz przed swoim klientem. I biznes kręciłby się dużo szybciej.

Wróćmy do „ustawy kagańcowej”, bo mi pan nie odpowiedział...

Bardzo dobra nazwa – kaganiec, kajdany. Sędziowie powinni przed kimś odpowiadać za swoje czyny i zaniechania. Nie tylko przed innymi sędziami, lecz także przed pozostałymi gałęziami władzy. Władze mamy trzy – ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą. Ta trzecia jest bezkarna, bo odpowiada jedynie sama

przed samą. To niedobrze. Sędziowie nie powinni być sędziami we własnej sprawie. Ktoś inny powinien ich wywalać i zatrudniać. Większość sędziów powinna być wybierana przez swoje lokalne społeczności, pozostałą część nominuje prezydent, a potem zatwierdza lub nie parlament – tak byłoby lepiej.

Dzisiaj jest tak, że prezydent może blokować parlament za pomocą weta. Sejm może blokować władzę wykonawczą za pomocą budżetu. Może też odwołać premiera lub postawić urzędnika władzy wykonawczej przed Trybunałem Stanu. Parlament można podać do sądu – ustawa trafia do Trybunału Konstytucyjnego. A jak w obecnym układzie ukarać lub zablokować władzę sądowniczą? Nie ma mechanizmu. Niedobrze. Ta jedna z gałęzi władzy nie odpowiada przed nikim, poza samą sobą.

Ogólnie każda władza, cała władza powinna mieć nałożony kaganiec i kajdany – inaczej system idzie w kierunku tyranii. Wszystkie trzy władze powinny mieć możliwość blokowania pozostałych – wtedy utrzymuje się zdrowa równowaga sił. Każda z tych władz ma być niezależna, ale jednocześnie możliwa do zablokowania przez dwie pozostałe.

Sędziowie powinni też odpowiadać za konsekwencje swoich złych wyroków: sędzia wypuścił złodzieja na warunkowe, złodziej na warunkowym dokonuje rabunku – sędzia odpowiada za współudział. Wyrok pierwszej instancji został podważony w instancji wyższej – sędziemu nie płaci się za pierwszą instancję, bo odwalił fuszerkę. Im się ogólnie powinno płacić na akord – honorarium od sprawy, a nie pensja. Wtedy procedowaliby dużo szybciej i baliby się wyroków podważalnych, bo za wyrok podważony nie ma honorarium.

Rozmawialiśmy już o sporach z Brukselą, to teraz przejdźmy do konfliktu z Moskwą. „Zostaliśmy zaatakowani najwyższymi ustami w Rosji, w związku z tym najwyższe usta w Polsce powinny odpowiadać” – tymi słowami komentował pan grudniowe oskarżenia ze strony Putina pod polskim adresem. Jednak na zaczepki prezydenta Rosji odpowiedział bardzo ostrym listem otwartym premier Morawiecki, którego porównał pan z „sekretną”. Może to nawet lepiej – obniżając rangę odpowiedzi, Polska pokazała, że nie traktuje insynuacji Putina poważnie?

Jeżeli Polska nie traktuje insynuacji Putina poważnie, to niedobrze. Rosja jest graczem dużo większym od Polski, mocniejszym, ważniejszym na arenie międzynarodowej. Z głosem Rosji się liczą,

z głosem Polski mniej albo wcale. A do-
wodem na to jest to, że Putin w Izraelu
przemawiał, a Polska nie. Putina cytuje
się na całym świecie – czyli Putin bardzo
głośno i w dużym nakładzie publikuje
oskarżenia na temat Polski. Odpowiada-
nie mu nawet najostrzejszym listem, ale
urzędnika niższego szczebla, powoduje,
że polski głos nie jest słyszalny, nie jest
cytowany. Gdyby zareagował prezydent,
a potem premier, a potem jeszcze Konwent
Seniorów polskiego parlamentu i prymas,
i Związek Ofiar, i ogólnie WSZYSCY; gdy-
byśmy wywalili ambasadora Rosji i zrobili
afere – całą SERIĘ głośnych ruchów
w tej sprawie – to może udałoby nam się
z polskim głosem przedrzeć. Może ktoś by
nas zacytował w tych samych miejscach,
w których cytowano Putina.

**Janusz Korwin-Milkke stwierdził, że Polska nie
powinna w ogóle odpowiadać na ataki Putina,
bo z kłamcami się nie dyskutuje, kłamców nie
traktuje się poważnie. To jakbym słyszał Wojciecha
Cejrowskiego, mówiącego: „Z głupkami nie warto
rozmawiać”.**

Putin nie jest głupkiem. Jest bardzo
potężnym przeciwnikiem o ogromnej sile
propagandowej. To, co opowiada o Polsce,
to nie są głupoty, lecz propaganda i polity-

ka historyczna. Niemcom pasują „polskie
obozy śmierci”, Rosji też pasują i pasują
Izraelowi. Jeżeli to kłamstwo na temat „pol-
skich zbrodni” zostanie przez świat uznane
za prawdę historyczną, to będzie nas kosz-
towało nie tylko 300 balonów z paragrafu
447, lecz także dodatkowe odszkodowania
na rzecz ofiar „wymordowanych przez Po-
laków”. To nie są głupoty, które opowiada
głupiek – to jest ogromne zagrożenie.

**Skrytykował pan Andrzeja Dudę za to, że posta-
nowił nie pojechać na Światowe Forum Holokaustu
do Izraela. „Prezydent nie może się obrażać! Ma wal-
czyć!” – komentował pan. Jednak przecież to byłaby
kompromitacja, gdyby Andrzej Duda musiał biernie
wysłuchiwać rosyjsko-izraelskiej, sprzecznej z naszą
wizji historii, nie mając przy tym prawa głosu...**

Nie mówiłem, że ma jechać na siłę
i siedzieć cicho. Mówiłem, że nie powinien
się poddawać, lecz WALCZYĆ O PRAWO
DO WYPOWIEDZI. Że powinien tak długo
i mocno walczyć, aż w końcu ustąpią i po-
jedzie przemówić, a Polska odzyska głos.

**A może zgadza się pan z Hanną Gronkiewicz-
Waltz, że to błąd, bo nieobecni nie mają prawa
głosu? I że Duda w razie jakichś skandalicznych
wypowiedzi mógł zwołać konferencję prasową
i opowiedzieć, jaka ta Rosja jest zła?**

Ponieważ z głupkami nie warto roz-
mawiać, więc słów HGW komentować nie
będę. Działalność jej urzędu w sprawie
kamienic to gang szmalcowników, więc
tym bardziej powinna siedzieć cicho.
I w dodatku za kratkami.

**Co prawda, w Jerozolimie przemawiał Putin,
nie było zaś Dudy, jednak prezydent Rosji, wbrew
przewidywaniom wielu komentatorów, nie zaata-
kował Polski wprost. Pod niebiosa wychwalał Armię
Czerwoną za pokonanie Hitlera, mówił o „pomocni-
kach nazistów”, ale nie o „polskich sprawcach” czy
„polskich obozach”. Powiedział za to: „Rosjanie,
Ukraińcy, Białorusini, Polacy byli uznawani przez nazi-
stów za podludzi; narody słowiańskie miały być albo
zniszczone, albo stać się niewolnikami bez własnej
kultury, pamięci historycznej i języka”. To może jednak
te straty wizerunkowe nie będą takie straszne?**

Pan chwilę poczeka i sam się przekona,
ile nas będzie kosztowało to wychwalanie
Armii Czerwonej. Armia Czerwona była
sojusznikiem Hitlera, gdy w niemieckich
obozach dymiły już krematoria. Pokłócili
się później, ale najpierw pomagali sobie
w rozkręceniu tej wojny. Stalin wymordo-
wał więcej ludzi niż Hitler i robił to dłużej.
Sowieckie obozy śmierci – Gułag – to 10
Holokaustów. Stalin zabił więcej Żydów niż
Hitler, więcej Polaków, księży, Cyganów

Machela
CHLEB
Kolonialny
NATURALNIE NA ZAKWASIE
*Wypieczono na życie
z pola Wojciecha Cejrowskiego*

Wybieraj świadomie!

**ZITO
BEZ OPRYSKÓW
BEZ NAWOZÓW
BEZ DOTACJI**

facebook.com/piekarnia.machela
www.Machela.pl

■ itd. Ilu Sprawiedliwych wśród Narodów Świata pochodziło z Rosji? Dwoje. Z Polski 7 tys. Wychwalanie Armii Czerwonej jest strzałem w Polskę, tyle że Putin umiał założyć tłumik na lufę. Mamy się cieszyć, że strzał był cichy, podczas gdy kula trafiła, gdzie miała trafić?

Głupi są ci komentatorzy, którzy spodziewali się ataku na Polskę wprost. Sformułowanie „pomocnicy nazistów”, którego użył Putin – pan chwilę poczeka i usłyszysz, jak zostanie przetłumaczone na mowę potoczną. Przecież to o nas tak mówią i o nikim innym różne osoby typu Gross. I słowo „naziści” też jest częścią tego tłumika. Nie powiedział „Niemcy”. Putin nie jest głupi, jego przemówienie zostało bardzo misternie utkane. Koronkowa serwetka utkana z drutu żyletkowego. I na tej serwetce postawił tort, bardzo smaczny dla wszystkich, a dla Polski trujący. W pewnym sensie (przewrotnym) można tę misterną robotę podziwiać – wybitny kunszt w złej sprawie. I Putin pewnie nawet nie uważa, że działa w złej sprawie – on przecież w sposób doskonały reprezentuje imperialny interes swojego kraju. My się cieszymy, że nie huknęły mocne słowa, a w tym czasie on cieszy się, że kula trafiła w cel.

„Mijają trzy pokolenia od tamtego dnia, kiedy kilka tysięcy więźniów wycieńczonych pracą, głodem i chorobami doczekało się wyzwolenia wreszcie przez żołnierzy Armii Czerwonej” – mówił Andrzej Duda w Oświęcimiu, podczas obchodów 75. rocznicy wyzwolenia Auschwitz. Czyli po wymianie ciosów pomiędzy Moskwą a Warszawą ostatecznie i tak polski prezydent oddaje w pewnym sensie historyczną sprawiedliwość Rosjanom. Jak pan ocenia tę wypowiedź?

Historyczna sprawiedliwość byłaby, gdyby powiedział coś takiego: „Gdy w sierpniu 1944 r. wybuchło powstanie warszawskie, Armia Czerwona zatrzymała się na Wiśle. Mogli kontynuować ofensywę, ale stanęli w miejscu. Armia Czerwona mogła wyzwołać Auschwitz dużo wcześniej, uratować tysiące ludzi, ale zatrzymała się na Wiśle. W ten sposób Stalin pomagał Hitlerowi wykończyć Warszawę. Pomagał poprzez zaniechanie działań. Z powodu tego zaniechania tysiące więźniów obozu nie zostały uratowane. Taka jest prawda historyczna”.

Gdyby takie słowa padły z ust Dudy, można by mówić, że oddał Rosjanom sprawiedliwość. Tymczasem Duda powiedział w zasadzie to samo, co wcześniej Putin w Izraelu.

Duda stwierdził też: „Fałszowanie historii drugiej wojny światowej, zaprzeczanie zbrodniom ludobój-

stwa i negowanie Holokaustu oraz instrumentalne wykorzystywanie Auschwitz dla jakichkolwiek celów – to bezczeszczenie pamięci ofiar, których prochy są tutaj rozsypane”. Czy to słowa wystarczająco mocne, aby dać odpór fałszerzom takim jak Putin?

To słowa ogólnikowe. Dostojne frazesy. Takie słowa mają małą moc. Gdy pani przedszkolanka krzyknie w przestrzeń: „Tak nie wolno!”, mało kto reaguje. Gdyby krzyknęła: „Maciek, tak nie wolno!”, wówczas może Maciek zwróciłby na nią uwagę, a inni zwróciliby uwagę na Maćka. A tak... Nie bardzo wiadomo, o kim i do kogo te słowa.

Jak to się w ogóle stało, że kraj, z którego pochodzi najwięcej Sprawiedliwych wśród Narodów Świata, kraj, na którego terenie znajdował się obóz Auschwitz-Birkenau, przy okazji rocznicy wyzwolenia tego obozu jest tak poniewierany na arenie międzynarodowej? Słabość naszej dyplomacji czy może wobec potęg Izraela i Rosji jesteśmy bezsilni?

Bezsilni, bo ta dyplomacja nie jest nasza. Nie było opcji zerowej, czyli WSZYSCY WON. Polska nie ma przywódców, którzy potrafiliby tupnąć nogą, brak mężczyźni – same miękkie parówki. Mówiłem to już panu tyle razy, że może zmieńmy temat. Bo co ja panu powiem nowego? Proszę mi pokazać jednego mężczyznę w polskiej polityce. Jednego Reagana, Trumpa, Margaret Thatcher, jednego Bismarcka, Churchilla, Piłsudskiego. Nie ma. A w Rosji jest Putin – bardzo silny. W Izraelu jest Netanjahu – silny, sprawny i nikogo się nie boi. W Rajchu jest Merkel, która przestawia pionki na europejskiej szachownicy. A Polska nie ma ani jednej

W Polsce bagno utopiło Kukiza, a teraz topi Konfederację

mocnej postaci, nie mamy żadnej polskiej doktryny międzynarodowej, nie mamy nikogo, kto postawiłby jakieś cele i miał za sobą Naród. Jesteśmy szachownicą pełną słabych pionków. I dlatego nie jesteśmy liczącym się graczem.

Co pan jednak proponuje konkretnego? Założmy, że mamy taką mocną postać w Pałacu Prezydenckim. Jakie ona, według pana, ma ruchy do wyboru? Sytuacja wydaje się patowa, przegrana.

W polskiej dyplomacji siedzi cała masa ludzi ruskich i dlatego w tej konkretnej

sprawie sytuacja jest patowa. Dyplomaci nie zrobili nic poza ruchami pozornymi, więc Duda nie pojechał do Izraela i Polska nie miała głosu.

Mocny facet na tym stanowisku zrobiłby tak: w pierwszym dniu urzędowania wymiana wszystkich ruskich ambasadorów na nowych. Nowi na początku może i będą nieporadni, ale się nauczą. Mają być przede wszystkim polskimi patriotami – reszta kwalifikacji jest ważna, ale drugorzędna.

W drugim dniu kadencji – znając zagrożenie żydowskie – prezydent jednostronnie, jako pierwszy na kuli ziemskiej, powinien być zrobić to, co kilka lat później zrobił Trump, czyli przenieść ambasadę do Jerozolimy w zamian za... – i tu się dogadujemy w zamian za co. Izrael tego bardzo potrzebował – wtedy – potrzebował jako symbolu od wielu lat. Prosił, zabiegał i błagał. Duda objął urząd latem 2015 r. i wtedy Izrael nie wiedział jeszcze, że przyjdzie Trump, wtedy miała wygrać Hillary Clinton, więc bylibyśmy pierwsi z przeniesieniem ambasady do Jerozolimy w zamian za... coś, na czym nam zależy. Na takich ruchach polega dyplomacja, tylko trzeba się ORIENTOWAĆ, czego potrzebuje przeciwnik.

Żydzi byli tak mocno od wielu lat rozczarowani obietnicami kolejnych kandydatów i prezydentów w sprawie Jerozolimy, że można to było rozegrać. Teraz... Trump przeniósł ambasadę, a my nadal nie i po Trumpie to już nie to samo – nie ten sam akt odwagi. Na takich aktach odwagi polega załatwianie ważnych spraw. I to był tylko przykład, jeden z wielu możliwych. Duda tej szansy nie wykorzystał, bo – moim zdaniem – nie jest aż tak odważny. Planuje reelekcję, więc pierwsza kadencja miała być miękka. A druga kadencja będzie miękka, bo będzie chciał zostawić ogólnie miłe wrażenie.

Może po prostu nie wpadł na ten pomysł...

Ja o tym mówiłem głośno, zagrożenie roszczeniami żydowskimi komentuję od lat. Pewnie więc słyszał, ale tego typu pomysły wydają się ludziom polityki zawsze zbyt radykalne. W Ameryce jest podobnie. Dopiero gdy przyszedł Trump, zaczęły się działania odważne i ryzykowne. Rozmowy z Koreą Północną. Na razie bezskuteczne, ale przynajmniej odważne, stanowcze. Rozmowy z Chinami, odważne i... skuteczne, jak się okazało. Renegocjacja złych umów handlowych z Meksykiem i Kanadą – odważna i skuteczna. Podobnie Duda mogłaby odważnie zerwać kontrakty

handlowe na dostawy gazu, który kupujemy z Rosji po absurdalnych cenach. My jednak czekamy grzecznie, aż kontrakt sam wygaśnie za dwa lata. Zerwanie przez Trumpa idiotycznych umów klimatycznych (które są tak samo szkodliwe dla Polski jak dla USA) – Duda też mógłby zerwać i kopalibyśmy polski węgiel oraz spalali byśmy go w polskich elektrowniach. Ale... Duda chce być wybrany na drugą kadencję, czyli... woli nie robić radykalnych ruchów. Tak samo zachowywali się Clinton, Bush – starali się nie mieszać za dużo, bo to robi źle na wizerunek. Zależało im bardziej na reelekcji. Piłsudski działał inaczej, zgodnie ze słowami pieśni: „Na stos rzuciliśmy nasz życia los – na stos, na stos!”. Czyli Ojczyzna najpierw, a mój los osobisty... dla Ojczyzny poświęć, i siebie, i reelekcję, i wszystko, co poświęcić trzeba będzie.

Na koniec przenieśmy się na Bliski Wschód, gdzie jeszcze niedawno pachniała wojną naszych amerykańskich sojuszników z Iranem. Stwierdził pan, że powinniśmy wycofać wojska z Iraku. To byłby akt odwagi? Czy nie byłaby to jednak jednocześnie zdrada sojusznika, gdybyśmy zrobili to wbrew Amerykanom? Waszyngton mógłby wtedy np. zredukować flankę wschodnią NATO.

To trzeba zrobić tak, żeby Ameryka zrozumiała. Trump od wielu lat był – i nadal jest – za wycofaniem amerykańskiego wojska z zagranicznych wojen. „Poszliśmy tam po nic i siedzimy tam po nic” – to jego słowa w odniesieniu do obecności USA w Afganistanie. Wystarczyłoby mu to zacytować w ramach sojuszniczej rozmowy o interesach. Mamy mocne karty, bo płacimy swoją składkę do NATO jako jedni z niewielu. Mamy mocne karty, bo Niemcy wkurzyli Trumpa i teraz on przesuwają wojsko z Niemiec do Polski. Akurat w tej sprawie mamy dość mocnych kart, by to rozegrać z Amerykanami. I można to było załatwić w trakcie obiadu po wystąpieniu Trumpa pod pomnikiem powstania warszawskiego, gdy był dodatkowo zachwycony Polską, owacjami, faktami historycznymi, których się nauczył, gdy czytał swoje przemówienie. Tylko że... na tym obiedzie brak było polskiego mężczyzny – męża stanu, który umiałby załatwić SPRAWY, a nie tylko jeść. Bolesław Chrobry wiedziałby, jak to przeprowadzić.

O tym, że trzeba się wycofać z Bliskiego Wschodu, na krajowym podwórku mówi głośno Konfederacja. Jak panu się podoba jej aktywność w Sejmie?

Jest bez znaczenia praktycznego. Symboliczna. W Polsce mamy utrwalać (za pomocą ordynacji wyborczej) system dwupartyjny. Mamy te wszystkie lewice razem wzięte (KO + SLD + cała reszta resortowych dzieci) oraz mamy lewicową „prawicę”, czyli PiS. Reszta towarzystwa się nie liczy. Lewica z lewicą zamieniają się miejscami i mamy lewicowy PiS przy władzy, a potem lewicową lewicę przy władzy, a lewicowy PiS w opozycji. W końcu. To jest podobne do tego bagna, które Trump próbuje osuszyć w Waszyngtonie i idzie mu ciężko, bo bagno wciąga i topi. W Polsce bagno utopiło Kukiza, a teraz topi Konfederację. Mają jeszcze chyba głowę i jedną rękę na powierzchni, ale ręka machająca nad bagnem to nie jest skuteczne działanie. No a Korwin-Mikke usiadł i już nawet nie macha, lecz stanowi obciążenie. Pojedyncze wypowiedzi Konfederacji mogą kogoś ucieszyć (ale im dosoli!), ale nie przekładają się na żadne skutki praktyczne. To chyba nie ich wina, lecz ordynacji, która nie daje praktycznych szans nikomu nowemu. Mamy zabetonowane i to nie jest beton polskiej produkcji.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

Narty, sanki, snowboard?

Ubezpiecz się na zimowy wyjazd

już od
za dzień! **8 zł**

Sprawdź
22 444 44 44

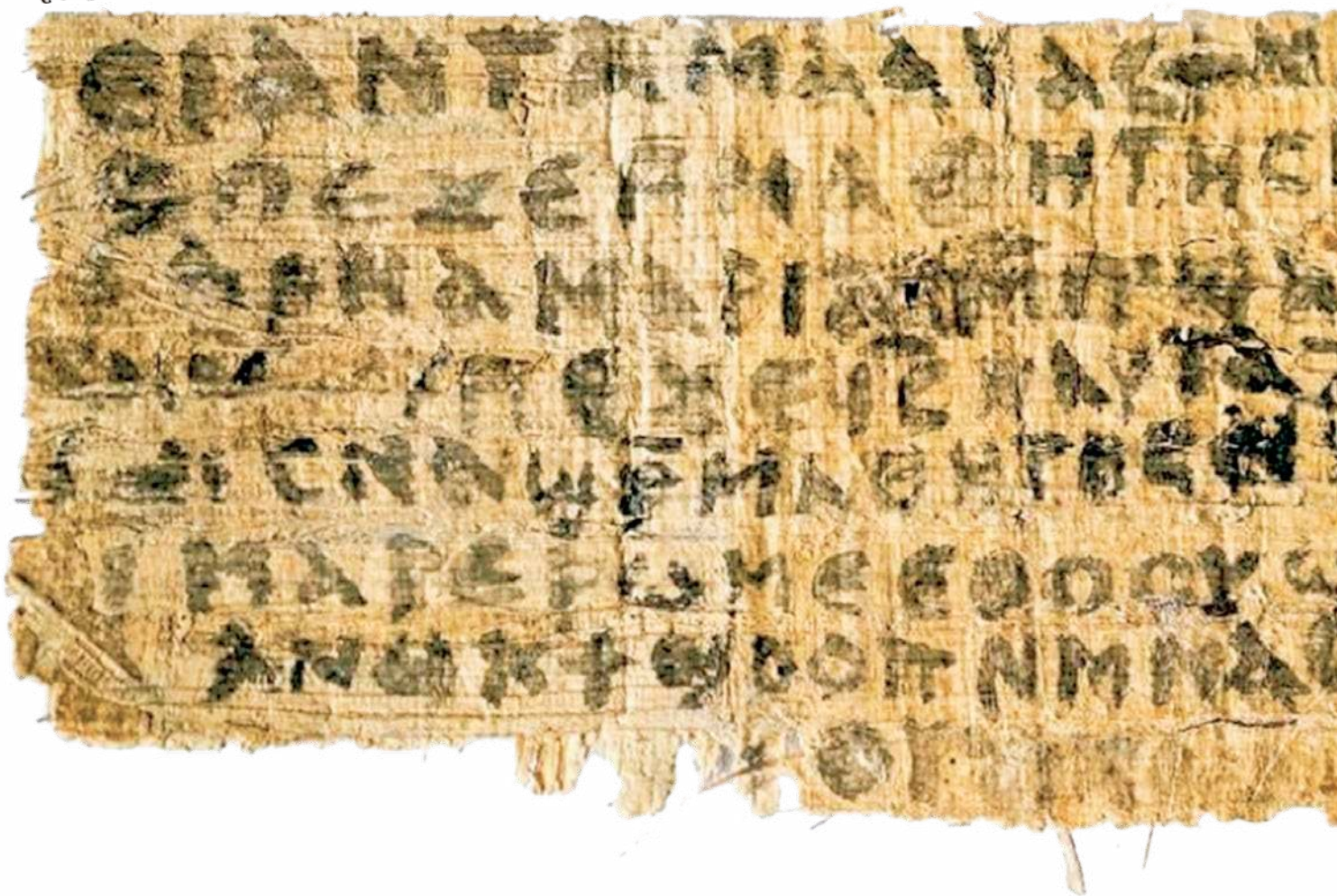
www.link4.pl lub zapytaj Agenta

LINK 4



REKLAMA

Składka 56,11 zł (8 zł za dzień) dla jednej osoby na 7 dni. Cena uwzględnia rabat za zakup polisy przez Internet. Region Europa obejmuje: koszt leczenia + Assistance SU 300 tys. zł, OC w życiu prywatnym na 300 tys. zł oraz amatorskie uprawianie sportów zimowych. Szczegółowy zakres ubezpieczenia i wyłączenia sprawdzić w OWU na www.link4.pl



Historia jednego fałszerstwa

Myślałem przez lata, że ta sprawa jest zamknięta i skończona. Po tym, jak w 2012 r. amerykańska profesor Harvardu Karen Leigh King ogłosiła, że znalazła starożytny papirus sugerujący, iż Jezus mógł mieć żonę, rozpoczęła się gwałtowna dyskusja. Krytycy wskazywali na błędy i słabości koptyjskiego tekstu, profesor i jej zwolennicy nie ustępowali. Jednak całkiem niedawno cała sprawa zyskała zupełnie inny wymiar. W „Niewiarygodnej opo-



Paweł Lisicki

Jak feministyczna profesor odkryła żonę Jezusa i jak mimo kompromitacji pozostała na uczelni

wieści o żonie Jezusa”, długim śledczym reportażu opublikowanym przez „The Atlantic”, amerykański dziennikarz Ariel Sabar pokazał, że prawdziwym autorem

słów Jezusa na papirusie był niedoszły niemiecki magister egiptologii, późniejszy dyrektor muzeum Stasi w Berlinie Wschodnim, wreszcie producent filmów

Fragment papirusu określanego mianem „Ewangelii żony Jezusa” FOT. HARVARD DIVINITY SCHOOL



pornograficznych ze swoją żoną w roli głównej na Florydzie. Chciał on w ten sposób, idąc śladem Dana Browna i jego „Kodu Leonarda da Vinci”, przywrócić chrześcijaństwu „stłumiony żeński element”.

W fałszerstwie pomógł mu, zapewne nieświadomie, niemający nawet średniego wykształcenia były niemiecki producent części do hamulców BMW. Na opowieść o autentycznym papirusie dała się nabrać nie tylko prof. King, lecz także inni profesowie najbardziej renomowanych uczelni na świecie. Wśród tych, którzy uznali prawdziwość odkrycia, byli: znany papirolog, szef instytutu badań nad światem starożytnym na uniwersytecie w Nowym Jorku, specjalistka od rękopisów koptyjskich w Princeton i profesor koptyjskiego na Uniwersytecie Hebrajskim w Jerozolimie. Żadna inna historia nie pokazuje lepiej, jak bardzo zideologizowana jest współczesna humanistyka, na czele z teologią.

Sensacja wybuchła w 2012 r. Był wrzesień, w Rzymie, w czasie międzynarodowego Kongresu Studiów Koptyjskich, prof. Karen Leigh King, historyk zajmująca się okresem wczesnego chrześcijaństwa

na Uniwersytecie Harvarda, ogłosiła, że znalazła skrawek papirusu, na którym są zapisane słowa: „Jezus powiedział im: Moja żona...”. Tuż pod tym wersem znalazło się inne stwierdzenie: „Będzie ona mogła być moim uczniem”. Zdanie to zostało zapisane alfabetem greckim, w języku koptyjskim, a fragment pochodzi najprawdopodobniej z przełomu wieków IV i V naszej ery. Najprawdopodobniej, bo nie był znany jego właściciel.

NA TĘ WIEŚĆ CZEKALI WSZYSTY

Tej krótkiej informacji towarzyszył komentarz pani profesor. „Fragment ten sugeruje, że niektórzy wcześnie chrześcijanie znali tradycję, zgodnie z którą Jezus był żonaty” – stwierdziła King. King była zdania, że „kobiety, które są żonami i matkami, mogą być uczennicami Jezusa”. Dowodziła ona, że choć sam znaleziony przez nią papirus jest z wieku IV lub V, to opiera się na tekście o dwa wieki wcześniejszym. Czyli – jak mówiła – można sądzić, że w niektórych kręgach wczesnych chrześcijan sądzono, iż Jezus faktycznie miał żonę. To rozumowanie pozwoliło jej nazwać znaleziony fragment „Ewangelią żony Jezusa”. Cała sprawa została opisana obszernie przez „New York Timesa”. Od tej chwili rzecz zaczęła żyć własnym życiem. Podnieceni reporterzy biegali za panią King, największe portale informacyjne, BBC, CNN, zamieszczały newsa, świat ogarnęły gorączka i podniecenie. Eksperci dwoili się i troili. Mało kto zwracał uwagę, że w języku gnostyków, z ich potępieniem ciała i seksu, erotyczny związek Zbawiciela z kobietą byłby nie do pomyślenia, a nazywanie gnostyków chrześcijanami wydaje się nadużyciem. To zdaje się nikogo nie obchodzić. To zdają się nieistotne szczegóły. Kto by zwracał na nie uwagę?

Istotne było co innego. Wreszcie znalazł się naukowiec, i to nie byle jaki, bo z Uniwersytetu Harvarda, który własnym i swojej uczelni autorytetem potwierdził, że Jezus mógł mieć żonę, o czym mogą świadczyć starożytne dokumenty, skryte wcześniej przed wzrokiem wiernych. Na tę wieść, niczym na wybawienie, czekali wszyscy ci – a zapewne są to miliony – którzy swoją wiedzę o chrześcijaństwie zdobyli, czytając książkę lub oglądając film o kodzie Leonarda da Vinci. Wszyscy ci, którzy zanim usłyszeli o odkryciu pani King, wiedzieli już, że Kościół od zarania swych dziejów skrywa straszną tajemnicę, że jego nieludzki i nikczemny charakter objawił się w tym, iż przez stulecia ukry-

wał przed chrześcijanami radosną wieść o tym, że Maria Magdalena była wybranką Jezusa. Z taką świadomością nie można było się nie podniecać. Nie można było się nie ekscytować. Gnostycy czy chrześcijanie, wiek IV czy II, jeden pies. Dość, by informacja poszła w świat i by dotarła do uszu setek milionów współczesnych chrześcijan, którzy nie chcą przyjąć do wiadomości, że ich Zbawiciel był człowiekiem takim jak inni, w każdym calu. Po prostu uprawiał seks z Marią Magdaleną, a stary papirus miał być tego dowodem. Może odkrycia pani King nie spotkałyby się z tak wielkim rozgłosem, gdyby nieco wcześniej było wiadomo o jej wcześniejszej działalności badawczej, skrywającej się za poważnie brzmiącą, trzeba przyznać, funkcją specjalisty od wczesnego chrześcijaństwa na jednym z najbardziej prestiżowych uniwersytetów świata. Jest bowiem King sama – moim zdaniem – najlepszym znakiem nowego zjawiska ideologizacji europejskich i amerykańskich uniwersytetów. Karierę robią tam nie tyle badacze, ile ideologowie. Rewolucjoniści i rewolucjonistki, dla których historia dawno już przestała być zapisem minionego, a stała się poręcznym instrumentem w walce z uprzedzeniami, opresją, prześladowaniami, maskulinizmem, patriarchalizmem, wyzyskiem itd., itp. Nic dziwnego zatem, że w takiej atmosferze napięcia, w takim nastroju bojowania i zaangażowania nawet niepewnej proveniencji fragment datowany na kilka wieków po śmierci Jezusa może się okazać autentyczny i prawdziwy. Jak z animuszem i zapałem pisała pani King w swej wcześniejszej książce „The Gospel of Mary of Magdala. Jesus and the First Woman Apostle”: „Ojcowie Kościoła odczytywali Ewangelię w zgodzie z seksistowskimi przesadami, według których kobiety są z natury niższe od mężczyzn i nie powinny mieć nad nimi władzy”. Otóż to. Skoro Ewangelię powstały jako owoc seksizmu, jako dzieła spalone, uprzedzone, jako zapis i świadectwo dominacji męskiej, skoro tak też je później wykładano i komentowano, to odkryty przez panią King fragment papirusu może się spokojnie nazywać „Ewangelią żony Jezusa”. Amerykańska badaczka wielokrotnie już dała się wcześniej poznać jako zwolenniczka radykalnego feministycznego odczytania Ewangelii. Dla niej „historyczna Maria z Magdali była wybitną żydowską poplecniczką Jezusa, główną apostołką, kobietą pełną wizji”. Tak samo King dowodziła, że odnaleziona



■ pod koniec XIX w. w Berlinie koptyjska Ewangelia Marii Magdaleny, najprawdopodobniej pochodząca z przełomu II i III w. n.e., ma podobne znaczenie dla ustalenia historyczności Jezusa jak Ewangelie kanoniczne. To wszystko nie przeszkadza jej występować przed opinią publiczną w roli eksperta i znawcy.

Sensacja trwała niespełna kilka dni, by potem szybko ustąpić miejsca innemu – mam nadzieję bliższym rzeczywistości – informacjom. W końcu kiedy głos zabrali specjaliści, szybko wyszło na jaw, że sprawa jest dęta i że wielki przełom to zwykła hucpa. Jak pisał jeden z nich, Francis Watson z Uniwersytetu w Durham: „Ewangelię lub fragment ewangelii można uważać za »sfalszowany« niezależnie od tego, czy ich autor żył współcześnie, czy w starożytności. W obu przypadkach cel jest taki sam. Chodzi o przekonanie tak wielu czytelników jak to możliwe, aby traktowali nowy tekst poważnie – jako okno pokazujące nieznanne aspekty życia Jezusa lub przynajmniej jako świadectwo postrzegania Go przez późniejszych zwolenników”. Dlatego Watson zalecał szczególnie sceptycyzm, jeżeli chodzi o odkrycie King. Jego zdaniem cały fragment jest bowiem współczesnym fałszerstwem, zbiorem kilku wyrażen pochodzących z koptyjskiej „Ewangelii Tomasza” napisanych na starożytnym papirusie przez współcześnie żyjącego autora. Ta i inne analizy znawców ograniczyły karierę „Ewangelii żony Jezusa”. Nic to jednak. Liczy się – jestem przekonany – co innego. Setki milionów ludzi uznało, że w sprawie „żony Jezusa” jest coś na rzeczy. A uznało tak, bo wcześniej przeczytało o tym u Dana Browna lub w jednej z innych książek, których autorzy oznajmiali wszem wobec, że posiadli wiedzę tajemną.

WOJNA O AUTENTYCZNOŚĆ

Wśród tych, którzy od początku mieli wątpliwości, był też amerykański dziennikarz, Ariel Sabar, zdobywca National Book Critics Circle Award za książkę opisującą enklawę w Iraku, gdzie przez wieki żyli kurdyjscy Żydzi, mówiący po aramejsku. Do zajęcia się sprawą autentyczności papirusu Sabara zaprosiła sama prof. King. Zanim przedstawiła swe odkrycie na publicznej konferencji w Rzymie, King pokazała fragment przedstawicielom kilku najbardziej prestiżowych amerykańskich redakcji: „The Boston Globe”, „The New York Times” i magazynowi „Smithsonian” oraz zwią-

zanemu z czasopiśmem kanałowi. Sabar był później także jedynym reporterem na sali, kiedy King prezentowała swoje znalezisko reszcie naukowców w Rzymie.

Tak jak inni przyglądał się sporowi o autentyczność. Mimo powszechnej krytyki i zarzutów Watsona King nie składała broni. Odrzucała zarzuty, że to fałszerstwo. Twierdziła, że niezdarność liter – na co wskazywał Watson – o niczym nie świadczy. Według niej starożytny skryba był po prostu nowicjuszem. Watson dowodził dalej, że w koptyjskim tekście o żonie Jezusa, pokazanym przez prof. King, pojawia się ten sam błąd typograficzny co w opublikowanym w 2002 r. w Internecie też koptyjskim wydaniu „Ewangelii Tomasza”. Wniosek był oczywisty – współczesny fałszerz skopiował tekst z koptyjskiej ewangelii. Profesor King się broniła: kopiowanie od siebie nawzajem było stałą praktyką w starożytności. Półtora roku później w sukurs przybył jej własny uniwersytet. Harvard przedstawił wyniki badań, zgodnie z którymi papirus pochodził ze starożytności, a w atramencie nie wykryto współczesnych składników. Tyle że – jak zauważył Sabar – niczego to nie przesądzało. Podobne małe skrawki starożytnych papirusów można kupić nawet na eBay. Można także sporządzić atrament zgodnie ze starożytną procedurą. Sprytny fałszerz mógł zatem kupić skrawek starożytnego papirusu, a następnie, używając atramentu przygotowanego zgodnie z dawnymi recepturami, umieścić tekst. To wystarczy, by nie dało się wykryć fałszerstwa. Przynajmniej metodami, do których odwołał się Harvard.

W POSZUKIWANIU WŁAŚCICIELA

Żeby rozstrzygnąć sprawę, Sabar postanowił przeprowadzić śledztwo i zbadać, kto był tajemniczym właścicielem papirusu. Kto przekazał go prof. King? Ta jednak konsekwentnie unikała podawania imienia i nazwiska sprzedawcy. Zgodziła się jedynie przekazać reporterowi „The Atlantic” swoją korespondencję e-mailową z tajemniczym właścicielem. W e-mailu od niego, który wysłała do dziennikarza, usunęła nazwisko oraz dane właściciela. Pozbyła się wszystkiego, co mogło pozwolić ustalić tożsamość właściciela papirusu.

Sabar musiał go znaleźć sam. W e-mailach od właściciela papirusu przesłanych przez King dziennikarzowi znajdował się kontrakt kupna sześciu fragmentów papirusów w listopadzie 1999 r. Tajemni-

czy właściciel miał je kupić od niejakiego Hansa-Ulricha Laukampa. W kontrakcie było napisane, że Laukamp sam kupił papirusy w Poczdamie, w 1963 r., w czasie, kiedy miasto to należało do NRD. Właściciel papirusu „Ewangelii żony Jezusa” przekazał King zdjęcie kopii listu, który tenże Laukamp otrzymał w 1982 r. od prof. Petera Munro, egiptologa z Wolnego Uniwersytetu w Berlinie. W liście tym Munro napisał, że jego kolega uznał, iż jeden z fragmentów papirusów zawiera tekst „Ewangelii św. Jana”. Tym jednak, co przekonało King o wartości papirusu „Ewangelii żony Jezusa”, była niepodpisana, niedatowana, ręcznie sporządzona notatka. Była w niej informacja, że kolega prof. Munro uważa, iż „skrawek ten [...] jest jedynym przykładem tekstu, w którym Jezus bezpośrednio wspomina o żonie”, co „mogło być dowodem na możliwe małżeństwo”. Tak więc z korespondencji wynikało, że osoba, która przekazała papirus prof. King, sama kupiła go w listopadzie 1999 r. od niejakiego Hansa-Ulricha Laukampa. Tenże Laukamp zdobył papirus „Ewangelii żony Jezusa” wraz z pięcioma innymi w 1963 r. w Poczdamie. Wreszcie w korespondencji znajdowała się wskazówka – chociaż było to jedynie zdjęcie kopii – że jeden z niemieckich profesorów egiptologii, znajomy renomowanego prof. Munro, zapoznał się z fragmentem w 1982 r. i dostrzegł jego znaczenie. Nie podważył też ani nie zakwestionował autentyczności.

Każde śledztwo musi mieć początek. Ustalając ogniwa łańcucha, dochodzi się do celu. Sabar zaczął śledztwo od próby dotarcia do jednej ze wspomnianych w kontrakcie osób. Tyle że, dziwnym trafem, żadna już nie żyła. Peter Munro zmarł w 2009 r. Kolega, którego wspominał i który miał docenić znaczenie papirusu, zmarł w 2006 r., Hans-Ulrich Laukamp zmarł w 2002 r. Pytana przez Sabara prof. King przyznała, że właściciel, który przekazał jej papirus, znał osobiście Laukampa. Z kolei w jednym z e-maili właściciel napisał do King, że „Laukamp »przywiózł [swe papirusy] ze sobą, kiedy wyemigrował do USA«”. Sabar zdawał sobie sprawę, że aby odkryć, kim był sprzedawca papirusu, musi dowiedzieć się więcej o tym, kim był Laukamp. To on był – jak wynikało z korespondencji – postacią kluczową. Zdobyl papirusy w 1963 r. W 1982 r. udało mu się uzyskać za pośrednictwem prof. Munro opinię innego znawcy na ich temat. Wreszcie w 1999 r. odsprzedał



je osobie, która w 2012 r. przekazała kluczowy dokument prof. King.

Jak mogło wynikać z wymiany e-maili, do której miał dostęp Sabar, Laukamp musiał być prywatnym kolekcjonerem interesującym się starożytnością. Docierając do Laukampa, można było ustalić następną osobę w łańcuszku, a więc tego, kto przekazał papirus prof. King. Można też było cofnąć się o jeden krok i próbować dociec, od kogo i w jaki sposób swój papirus kupił w 1963 r. w Poczdamie Laukamp.

Dlatego Sabar przedsięwziął iście detektywistyczną pracę. Ustalił, że w 1997 r. para Niemców, Hans-Ulrich i Helga Laukampowie, zbudowali jednopiętrowy dom z basenem w miasteczku Venice na Florydzie. Jakież musiało być zaskoczenie Sabara, gdy dowiedział się od znajomych i sąsiadów Laukampów, że Hans-Ulrich był ślusarzem, niemal nieznanym angielskiego, do tego nawet bez średniego wykształcenia. To była pierwsza wyraźna wskazówka, że z autentycznością papirusu jest coś nie tak. Trzeba przyznać, że trudno było sobie wyobrazić, by zmarły w 2002 r. Niemiec mógł być kolekcjonerem starożytnych rękopisów. Zanim przeniósł się do USA, Laukamp razem z jednym ze swoich partnerów założył firmę w Niemczech, produkującą części do hamulców BMW. Początkowo firma prosperowała. Laukamp mógł kupić dom na Florydzie i przeprowadzić się tam z żoną. Szczególnie trwało jednak krótko. U żony zdiagnozowano raka – pod koniec 1999 r. zmarła. Firma zbankrutowała w 2002 r., a kilka miesięcy później zmarł Hans-Ulrich. Nic tu nie układało się w całość. W jaki to sposób niewykształcony ślusarz z żyłką do biznesu miał gromadzić starożytne manuskrypty? Jaki był związek między nim a tajemniczym sprzedawcą, który dostarczył papirus prof. King?

AMERYKAŃSKI WSPÓLNIK

Badając dokumenty firmy Laukampa, reporter z „The Atlantic” ustalił, że wkrótce po śmierci żony ślusarza przedsiębiorstwo otworzyło amerykańską filię. Miała ona początkowo trzech wspólników, choć szybko kontrolę nad całością przejął niejaki Walter Fritz, który mieszkał w USA na cztery lata, zanim pojawił się tam Laukamp. Sabar poszedł tym tropem i postanowił skontaktować się z Fritzem, 50-letnim mężczyzną, mieszkającym z żoną w domu oddalonym o 30 minut jazdy samochodem od Venice.

Tym, co zwróciło uwagę dziennikarza, był osobliwy fakt: w 1995 r. Fritz założył

w USA firmę o nazwie Nefer Art. Nefer to słowo egipskie oznaczające „piękno”. Wreszcie pojawiła się wskazówka, że między Laukampem, a ściślej mówiąc – między jednym z jego wspólników – a kulturą egipską i koptyjskim papirusem istnieje jakieś powiązanie. Jeszcze niewyraźne i niejasne, ale warte zbadania. O ile nic nie wskazywało na to, żeby istniał jakikolwiek związek między Laukampem a opublikowanym przez prof. King w Rzymie papirusem, o tyle zbadanie życiorysu Fritza wydawało się bardziej obiecujące. W końcu w otoczeniu Laukampa pojawił się ktoś mający związek z Egiptem i językiem koptyjskim. Sabar badał dalej.

W Internecie znalazł ciekawą informację, że w 1991 r. niejaki Walter Fritz opublikował artykuł w prestiżowym niemieckim czasopiśmie „Studien zur Altägyptischen Kultur” („Studia na temat kultury staroegipskiej”). Tenże Fritz miał studiować w instytucie egiptologii na Wolnym Uniwersytecie w Berlinie, czyli dokładnie w tym samym miejscu, gdzie uczyli Peter Munro i jego kolega, który to miał w 1982 r. zbadać papirusy Laukampa. Nic dziwnego, że Sabar poczuł dreszczyk emocji. Wreszcie rozrzucone kamyczki układanki zaczęły do siebie pasować. Pojawił się ważny ślad łączący Laukampa z Egiptem i papirusem koptyjskim. Tylko czy Walter Fritz, partner biznesowy Laukampa, i Walter Fritz, student egiptologii w Berlinie, był tą samą osobą? A może to przypadkowa zbieżność imion i nazwisk? Co dokładnie łączyło go z Laukampem? Czy to jemu Laukamp sprzedał papirus w 1999 r.? I czy to on był tym tajemniczym właścicielem papirusu „Ewangelia żony Jezusa”, od którego dostała go prof. King? To były pytania, na które Sabar musiał znaleźć odpowiedzi. W rozmowie telefonicznej Fritz stwierdził, że nigdy nie studiował egiptologii w Berlinie ani nie napisał artykułu w czasopiśmie „Studien zur Altägyptischen Kultur”. Czyżby to była ślepa uliczka? Dodatkowo Fritz stanowczo zaprzeczył, że był właścicielem papirusu. Tym, co zwróciło uwagę reportera „The Atlantic”, było to, że Fritz odmówił osobistego spotkania twarzą w twarz. Potwierdził jednak, że znał Laukampa.

FEMINISTKI OPANOWUJĄ UCZELNIE

Karen Leigh King jest pierwszą kobietą, która w niemal 300-letniej historii Harvardu otrzymała stanowisko profesora teologii. W 1984 r. zrobiła doktorat z historii religii na Uniwersytecie Browna, a w 1991 r.

Occidental College powierzył jej katedrę studiów teologicznych oraz studiów kobiecych. W 1997 r. zaczęła wykładać w Harvard Divinity School. Jej zdaniem, podobnie jak innych feministek, dominująca wizja wczesnego chrześcijaństwa, w którym to powszechnie przyjmowano jedną regułę wiary, jest nieprawdziwa.

Karen Leigh King: „Należy pamiętać, że ci pierwsi chrześcijanie nie mieli Nowego Testamentu, ani Credo nicejskiego, ani Składu Apostolskiego, ani powszechnie uznanego porządku kościelnego, ani łańcucha autorytetów, ani budynków kościelnych, ani wreszcie jednego rozumienia Jezusa. Wszystkie te elementy, które można by uznać za istotne dla definicji chrześcijaństwa, jeszcze nie istniały. Na początku nie było ani Nowego Testamentu, ani nicejskiego Wyznania wiary; były one produktem końcowym tych dyskusji i debat; przedstawiają one jakby osad powstały w procesie doświadczenia i eksperymentowania, którego znaczną częścią był konflikt i walka”. Znika zatem podział na to, co słuszne, ortodoksyjne, co powszechnie przyjęte i przez cały Kościół uznane, oraz na to, co jest wypaczeniem, zejściem ze słusznej drogi, oderwaniem, ograniczeniem. Co znaczy zatem być chrześcijaninem? Co wyznacza chrześcijaństwo? Nie wyznania wiary, nie tradycja apostołska, nie powszechna zgoda starożytnych ośrodków Kościoła. Ostatecznie chrześcijaninem jest ten, kto się za takiego uważa, kto nawiązuje do nauk Jezusa, kto się na Niego powołuje. Tak jak nie ma kanonu i Kościoła, tak nie ma też hierarchii, nie ma władzy apostołskiej. Są okruchy prawdy rozrzucone, rozsiane, niejednolite. To, co do tej pory było przez Kościół i jego Ojców odrzucane, winno cieszyć się właśnie szczególnym uznaniem. Autentyczne staje się to, co nieprawdopodobne i nieortodoksyjne”.

To powszechnie przyjęty przez feministyczne aktywistki punkt widzenia.

To w tych pismach bowiem przechowały się ślady prawdziwego, nieskażonego przekazu Jezusa, który nie został jeszcze stłumiony przez androcentryczne społeczeństwo, przez patriarchalne struktury kościelne. To, co King pisze o jednym z tekstów, można odnieść do pozostałych: „Ewangelia Marii została napisana wcześniej, nim został ustalony kanon”. Dzięki temu założeniu sylwetka głównej bohaterki może jednak konkurować z obrazem, który pokazują Ewangelie Nowego Testamentu. Pokazana przez nie Maria straciła swoje uprzywilejowane stanowisko; jej



■ obraz w pismach gnostyckich nie jest gorszy, bardziej zniekształcony czy wypaczony. Jest po prostu inny. Zdaniem King „nie należy przyjmować, że interpretacja tradycji Jezusa w Ewangelii Marii powstała jako »wypaczenie« Nowego Testamentu. Sama Ewangelia Marii rości sobie prawo do tego, że opiera się bezpośrednio na apostołskich świadkach nauk Zbawiciela po wskrzeszeniu”. Słowa te brzmią szczególnie wyzywająco. Czyżby ich autorka utrzymywała, że gnostycka Ewangelia Marii zawiera niezależne tradycje, inne, nieznane bliżej przekazy pochodzące z kręgu Jezusa? King się zastrzega i twierdzi, że jej słów nie należy rozumieć dosłownie. Nie dosłownie – czyli jak?

Pisze przecież, że „Ewangelia Marii stanowi rozwinięcie wczesnej, niezależnej interpretacji tradycji Jezusa w kontekście chrześcijaństwa pogańskiego”. Mielibyśmy zatem w ręku konkurencyjną wobec oficjalnych, kanonicznych, aprobowanych przez prawowitny Kościół ewangelię? Osobne, nieskażone, wolne od nacisku patriarchy źródło? Tak by to wyglądało. I obietnica ta brzmi rzeczywiście bardzo zachęcająco. Według amerykańskiej badaczki „Ewangelia Marii Magdaleny” świadczy o tym, że od tradycji apostołskiej, od autorytetu pochodzącego z następstwa w linii apostołów ważniejsza jest duchowa dojrzałość, która przejawia się w doświadczeniu profetycznym; podobnie podstawą władzy ma być duchowa dojrzałość, a nie płeć. „Rzeczą kluczową jest przypomnienie, że nie istnieje opis słów i czynów Jezusa, który by do nas dotarł bez interpretacji: ponieważ On sam niczego nie napisał, nie istnieje bezpośrednia droga prowadząca z powrotem do historycznego Jezusa. Cała literatura ewangeliczna nie jest niczym więcej niż świadectwem teologii i życia wczesnych chrześcijan, wszystkie nasze portrety Jezusa zostały przefiltrowane przez soczewki wczesnochrześcijańskich wierzeń oraz wyobrażeń i wszystkie zostały ukształtowane w dialogu z innymi poglądami”. Stąd „Ewangelia Marii” okazuje się niezależną interpretacją wczesnej tradycji Jezusa.

PRZEKONAĆ RZYMIAN

Te i podobne bzdury feministyczne badaczki wygłaszają ze śmiertelną powagą z katedr najbardziej renomowanych uniwersytetów Zachodu. Dla nich teksty Nowego Testamentu są z góry podejrzane. Nie jest ważne, co mówią, bo to, co mówią, pokazuje tylko świadome zamia-



Feministyczna profesor Karen L. King w swoim gabinecie na Harvardzie pokazuje fragment „ewangelii Marii” FOT. BOSTON GLOBE/GETTY IMAGES

ry autorów. Ważniejsze jest to, o czym milczą albo o czym mówią półgłosem. „Wcześni chrześcijańscy autorzy wybierali, redagowali i formułowali ponownie swe tradycyjne źródła i materiały zgodnie z własnymi teologicznymi intencjami i praktycznymi celami” – stwierdza Elisabeth Schüssler Fiorenza, prawdziwa guru tego ruchu umysłowego. I dalej: skoro żyli w patriarchalnym świecie i przyjmowali jego mentalność, to znikoma ilość informacji o kobietach wynika z tego właśnie androcentrycznego nastawienia wczesnych autorów chrześcijańskich. Androcentryczny, czyli taki, w którym centrum świata jest mężczyzna, jego potrzeby, jego wrażliwość. Skoro w starożytności powszechnie uznawano, że wszystkie istotne funkcje polityczne, wojskowe, a nawet religijne sprawują mężczyźni, to ich sposób patrzenia, ich postrzeganie – twierdzą feministki – były traktowane jako naturalne. Nieważne zatem, co ewangeliciści piszą. Są przecież z góry już spętani i ograniczeni patriarchalną, androcentryczną kulturą, z góry zatem stronniczy. Są mężczyznami.

Jednak to nie ich jedyne ograniczenie. Piszą, by przekonać do chrześcijaństwa pogan, a konkretnie Rzymian. Piszą zatem w taki sposób, by ich zachęcić, by im pokazać – twierdzą autorki pism feministycznych – że nowa religia szanuje ich obyczaje i uznaje znaczenie rzymskiej rodziny. Pierwsi chrześcijanie – twierdzi się – szybko się zorientowali, że ich rzymscy, pogańscy sąsiedzi wyjątkowo źle przyjmują religię, w której tak znaczące

miejsce wyznaczono kobietom. Chrześcijanie chcieli się okazać bardziej rzymscy niż Rzymianie w zakresie kontroli, jaką sprawowali nad swymi rodzinami – pisała Karen Leigh King. Widzieli, jak ważne dla Rzymian są rodzina i władza mężczyzn, mężów i ojców. Chcąc dotrzeć do pogan i zdobyć ich uznanie, musieli zgodzić się na to, by to, co najbardziej kontrowersyjne i co prowokowało największy opór, przestało kłuć w oczy.

Argument ten wydaje się jednak wyjątkowo miażdżący. Najbardziej szokującą wieścią, którą chrześcijanie przynosili światu, było to, że ich król królów, Syn Boży (tytuł, którym poganie powszechnie obdarzali władców i cesarzy), Zbawiciel i Pan, zginął na krzyżu jak niewolnik i złoczyńca wskutek wyroku wydanego ostatecznie przez rzymskiego urzędnika. Treść tego posłania była szokująca. Wielu poganom musiała wydawać się na pierwszy rzut oka czymś niedorzecznym, szalonym, godnym potępienia i odrzucenia. Gdyby zatem chrześcijanie – jak to dzisiaj wmawiają różnej maści ideologowie – naprawdę chcieli dostosować się do oczekiwań świata, przede wszystkim usunęliby ze swego przekazu to, co w nim najbardziej skandaliczne. A jednak to właśnie zostawili. Zostawili mądrość – mówiąc językiem św. Pawła – krzyża.

TO TEN SAM FRITZ

Tym, co zwróciło uwagę dziennikarza w przekazanej mu przez prof. King korespondencji z właścicielem papirusu, była niespójność i brak konsekwencji nadawcy.



W e-mailach do prof. King raz zwracał się do niej jako do „pani”, raz jako do „doktora”, a raz jako „profesora”. Nadawca raz występował w roli kompletnego laika, twierdząc, że nie zna się na koptyjskim, innym zaś razem posyłał jej własne tłumaczenia z koptyjskiego. Umiał właściwie rozróżnić dialekty tego starożytnego języka, a nawet określić wiek papirusu. W jednym z e-maili pisał do niej, że papirus kupił w 1997 r., po czym załączył kontrakt zakupu z końca 1999 r. Wszystkie te nieścisłości nie zwróciły uwagi prof. King. Nie zwróciły, bo od początku przekaz papirusu tak dokładnie odpowiadał jej oczekiwaniom oraz oczekiwaniom i potrzebie całego środowiska feministycznych profesorek, że o szczególności i nieścisłości nie chciała się martwić.

Sabar się nie poddawał. Od dziennikarzy lokalnej gazetki zdobył zdjęcie Fritza i wysłał je do jednego z dawnych profesorów instytutu egiptologii w Berlinie, który osobiście znał Waltera Fritza, autora tekstu w „Studien zur Altägyptischen Kultur”. Pamiętał on, że Fritz nigdy nie ukończył studiów, opuścił uniwersytet wskutek konfliktu z promotorem. Jakież musiało być zaskoczenie, ale i duma Sabara, kiedy w skrzynce znalazł odpowiedź od starego berlińskiego profesora, potwierdzającą, że zdjęcie Waltera Fritza z Florydy i Waltera Fritza, studenta egiptologii w Berlinie, przedstawiają prawdopodobnie tę samą osobę. Wniosek był prosty: Fritz kłamał. Dlaczego? Co chciał ukryć? Sabar postanowił dokładniej przyjrzeć się założonej przez Fritza w 1993 r. firmie Nefer Art. Wśród eksponatów, które oferowała klientom, były dwa fragmenty starożytnych manuskryptów – jednego w języku greckim, drugiego w arabskim. Kiedy wysłał specjalistom te zdjęcia fragmentów do oceny, odpowiedź była oczywista: kiepska podrobka.

Najważniejsze jednak było inne odkrycie – kiedy Sabar wprowadził do wyszukiwarki Google nazwisko i adres e-mailowy Fritza, uzyskał link pokazujący historię rejestracji domen. Wszystko było jasne: 26 sierpnia 2012 r., na ponad trzy tygodnie, zanim prof. King ogłosiła swe odkrycie, Walter Fritz zarejestrował domenę pod nazwą www.gospelofjesuswife.com. Nie można już było mieć wątpliwości. Najwyraźniej Fritz już miesiąc wcześniej przewidywał, że prof. King połączy haczyk i że lada moment ogłosi opinii publicznej, iż ma w ręku papirus mówiący o „żonie Jezusa”. Zresztą nie wymagało to wielkiej przenikliwości.

Wystarczyło znać tezy współczesnych feministek na temat początków chrześcijaństwa. Wystarczyło czytać, co pisały o ewangelii i ich pochodzeniu. Większość tych profesorek teologii wykazywała się skrajną łatwowiernością, brakiem logicznego myślenia, zdolnością do stawiania radykalnych i arbitralnych tez. I przede wszystkim cechowała je ogromna potrzeba uznania dla swoich odkryć, docenienia i aprobaty. Z jednej strony zajmowały z roku na rok coraz bardziej prestiżowe, cieszące się autorytetem, znaczące stanowiska, z drugiej nie do końca można było być pewnym, czy wszystkie te akademickie kariery i profesury nie są przypadkiem skutkiem zaangażowania w propagowanie studiów kobiecych. Pojawienie się papirusu ze słowami Jezusa było jak dar niebios. Okazywało się, że ledwo powierzono kobiecie, feministce, kluczową profesurę na Harvardzie, ona od razu niemal odnalazła to, co przez wieki skrywała męska androcentryczna kultura. Być może Fritz nie ukończył egiptologii, być może nie był znawcą koptyjskiego, ale doskonale rozumiał psychologię i mechanizmy świata.

ANDROCENTRYZM W NATARCIU

Polski czytelnik często nie zdaje sobie sprawy ani z tego, jakim żargonem posługują się współczesne „profesorki”, ani z tego, jakie są ich tezy. Nie rozumie, że na wielu zachodnich uczelniach, również tych najbardziej szacownych, za starą fasadą kryje się nowa, postępową treść. Oto co pisze w uważanej za biblię współczesnego chrześcijańskiego feminizmu Elisabeth Schüssler Fiorenza: „Androcentryczny system lingwistyczny płeć/rodzaj, który używa klasyfikacji rodzajowych zakorzenionych w pojęciu biologicznej płci, może jedynie utrwalac i naturalizować socjopolityczne konstrukty genderowe. W takim systemie lingwistycznym rodzaj męski występuje jako rodzaj »ogólny«; w takim języku człowiek/mężczyzna/męski/on to pojęcia reprezentujące jednocześnie człowieka i mężczyznę, podczas gdy kobieta/kobiecy/żeńskie/ona odnosi się jedynie do tego, co kobiece. Androcentryczne pod względem gramatycznym »ogólne« języki zachodnie, które opierają się na klasycznych systemach gramatycznych greki i łaciny, wyraźnie wspominają o kobietach jedynie jako o wyjątkach od reguły, jako o czymś problematycznym, albo wyrażnie jako o poszczególnych jednostkach”. Wszystko to pojawia się w „In Memory of Her. A Feminist Theological Reconstruc-

tion of Christian Origins”, dziele uważanym – ostrzegam, to nie żart – za epokowe!

Gender to w takim ujęciu płeć, lecz nie w sensie biologicznym, tylko kulturowo-społecznym, czyli treść, którą w danej kulturze czy cywilizacji wiąże się z płcią. Według tej badaczki sama struktura języka konserwuje i zachowuje pierwotną nierówność i hierarchię. Język daje przewagę mężczyznom. Zrozumienie tego musi mieć fundamentalne znaczenie dla interpretacji chrześcijaństwa, a szczególnie dla zrozumienia roli i funkcji kobiet. W oczywisty sposób zrozumienie języka i odkrycie jego konserwującej roli będzie miało wpływ na najważniejszą bohaterkę Ewangelii, czyli Marię Magdalenę.

Współczesne feministki nie interesują się tym, co Biblia mówi o kobietach, nie zajmują się bohaterkami biblijnymi. Albo nie interesują się tym przede wszystkim. To prawda, że w Biblii, zarówno w Starym Testamencie, jak i Nowym, występuje wiele postaci kobiecych. Sara, żona Abrahama, rodzi Izaaka, Rebeka, żona Izaaka, jest matką Jakuba. Ten jest mężem Lei i Racheli oraz dwóch nałożnic. Można wskazywać wiele innych bohaterek biblijnych: Moabitkę Rut, Tamar, która uwiodła Judę, Esterę, która uratowała lud Izraela, Szulamitkę, Judytę. Tylko że z punktu widzenia współczesnego feminizmu bohaterki te, jakkolwiek wielką czią by je otaczano, nie mają znaczenia. Liczy się tylko jedno: na ile były w stanie konkurować z mężczyznami o władzę. W jakim stopniu świadomie spierały się z nimi i walczyły o swoją pozycję. Bez tego nie mają znaczenia. Gorzej. Brak takiej świadomości oznacza, że dostosowały się do androcentrycznej cywilizacji i stały się poniekąd jej symbolami.

Podobnie ma się sprawa z chrześcijaństwem, które traktowane jest jako ruch egalitarny, mający pierwotnie na celu zrównanie praw kobiet i mężczyzn. To, że tego się nie dostrzega, wynika z manipulacji autorów. Zapis biblijny powstał – twierdzą współczesne autorki – wskutek męskiej dominacji. „Kobiety nie były na marginesie życia na początku chrześcijaństwa; to biblijne teksty i źródła historyczne stworzyły obraz kobiet na marginesie. Dlatego teksty należy odczytywać nie tylko pod kątem tego, co mówią one o kobietach, ale także pod kątem tego, jak konstruują one to, co mówią albo o czym nie mówią. [...] Zamiast domagać się od badaczek historii feminizmu czy pracy tego, by dowiodły, że kobiety i robotnicy mieli aktywny udział w danym okresie



■ historycznym, ta feministyczna reguła domaga się przyjęcia innej perspektywy: trzeba udowodnić, że nie mieli udziału” (Schüssler Fiorenza). To rzeczywiście postulat rewolucyjny. Zakłada się bowiem, że prawdą jest to, czego teksty nie przekazują, to zaś, co przekazują, traktuje się nie jako opis rzeczywistości, ale jako zapis układu sił. Schüssler Fiorenza odwołuje się do metody, która rozpanoszyła się we współczesnej egzegezie, tyle tylko, że zamierza ją zastosować do udowodnienia roli i znaczenia kobiet w ruchu Jezusa.

UCISK MASKULINIZMU

Krótko: kobiety w ruchu Jezusa odgrywały od początku rolę dominującą. To, że Ewangelie o tym nie wspominają, jest dowodem, że wiedza ta została stłumiona, ograniczona. Najważniejszą apostołką była Maria Magdalena, a nie Piotr. To jej Jezus powierzył władzę i autorytet, to ona miała nauczać braci i umacniać ich w wierze. Piotr nie chciał się jednak z tym pogodzić i postanowił odzyskać władzę. Nowy Testament w swej najgłębszej warstwie zawiera opis tych zmagania. To, że ewangelisci piszą, iż było odwrotnie, o niczym nie świadczy, poza jednym – wzięli udział w próbie narzucenia fałszywej narracji. Maria Magdalena była kobietą, która otrzymała równość z Jezusem w czasie, gdy opresyjny maskulinizm dominował nad światem.

Powodem, dla którego Maria Magdalena została wykluczona, nie było to, że miała słabszą wiarę niż uczniowie – miała ją większą. Maria znika, bo tak świadomie zdecydowali wcześnie ojcowie Kościoła, którzy pozbyli się niewygodnej kobiety. Nie mogli pogodzić się z tym, że była równa apostołom, dokonali zatem czegoś w rodzaju małego zamachu stanu: ocenizowali przekaz, ograniczyli jej rolę.

To, że tylu badaczy wciąż tego nie widzi, pokazuje, jak głęboko uwikłani są we współczesne struktury patriarchalne. „Twierdzą – dalej grzmi Schüssler – że z powodu przyjmowania kyriocentrycznych modeli rekonstrukcji historycznej historycy wczesnego chrześcijaństwa nie dostrzegli lub błędnie zinterpretowali teksty i produkty, które przyznawały kobietom sprawowanie publicznych funkcji lub czyniły ich aktywności czymś kluczowym”. Historycy badający Nowy Testament wyrosli w kulturze patriarchalnej i przyjmowali ją za coś oczywistego i neutralnego. Tymczasem jest inaczej. To, co jawi się jako normalne, jest skutkiem

i owocem wielu wieków dominacji i przemocy, czasem jawnej, czasem ukrytej. Od zarania dziejów ścierają się zwolennicy wolności i emancypacji oraz jej wrogowie; nie istnieją żadna naturalna struktura ani porządek społeczny. Emancypacyjna walka przeciw kyriarchii i za ludzką godnością i równością istniała już w judaizmie oraz świecie grecko-rzymskim – twierdzi Schüssler Fiorenza – i „od początku determinowała korzenie chrześcijaństwa”.

Toczy się cały czas, także dzisiaj, i będzie trwał tak długo, jak długo „kulturowo-religijny kyriocentryzm i socjopolityczna kyriarchia będzie pozostawać w historycznym napięciu z radykalnie demokratyczną wizją samodeterminacji we wszystkich sferach życia społeczno-kulturowego i religijnego”. Czym było zatem chrześcijaństwo? Radykalnym dążeniem do równości. To, że Jezus przekraczał bariery społeczne i klasowe, to, że pozwalał iść za sobą kobietom, nie było oznaką Bożego miłosierdzia, ale stanowilo realizację projektu pełnej równości i emancypacji. Jezus chciał w tym ujęciu wprowadzić pełną równość władzy kobiet i mężczyzn; chciał znieść wszelki ucisk i opresję, w tym największą i najstarszą opresję wynikającą z różnic płci. Jezus wystąpił przeciw kyriarchii, a więc panowaniu męskiemu; taki był sens pierwotnego, najwcześniejszego chrześcijaństwa. Taki jest też cel autorki wielkopomnego dzieła.

Chce ona śledzić ślady walki przeciw kyriarchicznym relacjom dominacji w początkach wczesnego chrześcijaństwa w kontekście świata grecko-rzymskiego, do którego należał judaizm. Walka nie jest łatwa, bo w miejscu pierwotnego, równościowego, emancypacyjnego chrześcijaństwa wyrósł Kościół: „Proces tłumaczenia, który zmienił ekklesia/zgromadzenie na kyriake/kościół, wskazuje na historyczny rozwój, który uprzywilejowywał kyriarchiczno-hierarchiczną formę Kościoła”.

PIWO LEPSZE NIŻ PAPIRUSY

Amerykański dziennikarz w 2016 r. postanawia pojechać do Niemiec i porozmawiać z pasierbem zmarłego w 2002 r. Laukampa. Chce sprawdzić, czy zmarły mógł być kolekcjonerem starożytnych papiirusów i czy to on mógł przekazać je Fritzowi. Po tym spotkaniu na światło dzienne wychodzą kolejne tajemnice. Laukamp uciekł do Berlina Zachodniego już w 1961 r. Jak zatem mógł zdobyć sześć papiirusów w Poczdamie w 1963 r.?

Nie sposób sobie tego wyobrazić. Musiałby najpierw uciec na Zachód, potem wrócić, kupić sześć papiirusów w Poczdamie i jeszcze raz uciec.

Nie mniej intrygujący był portret psychologiczny rzekomego właściciela papiirusów, który Sabar ustalił na podstawie wspomnień pasierba i jego żony, najbliższych krewnych zmarłego w 2002 r. Niemca. Laukamp w ogóle nie interesował się starożytnością. Podobnie nigdy nie słyszeli o jakichkolwiek innych jego studiach nad papiirusami. Był to człowiek pocziwy, lecz jednocześnie o bardzo ograniczonych horyzontach. Był prostym ślusarzem i później biznesmenem. Nie miał nawet średniego wykształcenia. Jeśli miał wolny czas, to spędzał go na piwie z kumplami, a nie na wertowaniu papiirusów – twierdzili zgodnie pasierb z żoną. Niemożliwe zatem, żeby ktoś taki w 1982 r. po pierwsze posiadał sześć tajemniczych koptyjskich papiirusów, po drugie zwrócił się o konsultację do profesora egiptologii. Skąd zatem na kontrakcie wziął się jego podpis? Laukamp był człowiekiem naiwnym, któremu łatwo było wmówić dowolne rzeczy – twierdziła rodzina. Najprawdopodobniej – wskazuje Sabar – Fritz musiał w pewnym momencie zdobyć jego podpis i umieścić go pod sfałszowanym kontraktem.

Wyjazd do Berlina przyniósł jeszcze jedną zdobycz – Sabar ustalił, że krótko po obaleniu muru berlińskiego Fritz został na kilka miesięcy dyrektorem muzeum Stasi w Berlinie Wschodnim. Potwierdzeniem było archiwalne zdjęcie z tygodnika „Stern”. Prowadząc dalej mozolne śledztwo, Sabar odkrył, że Laukamp i Fritz spotkali się pierwszy raz na początku lat 90. w berlińskiej saunie. Później zaczęli współpracować przy tworzeniu firmy produkującej części do hamulców dla BMW, której amerykańskim przedstawicielem stał się Fritz. Największym atutem tego ostatniego były zdolności do przekonywania. Potrafił – mówili jego dawni znajomi – sprzedać wszystko każdemu i za każdą cenę.

Ostatnim pytaniem, na które musiał sobie odpowiedzieć dziennikarz, było pytanie o motyw. Dlaczego właściwie Fritz miałby dokonać takiego fałszerstwa? Co nim kierowało? Nie była to chyba zwykła chciwość – za przekazanie papiirusu Harvardowi na 10 lat nie dostał pieniędzy. Nie znał osobiście King. Przekazując jej sfałszowany papirus, musiał mieć inny cel niż np. upokorzenie znanej profesor.



Nie były znane żadne jego wypowiedzi publiczne, które pozwoliłyby zrozumieć, dlaczego zdecydował się na taki ruch.

TRZEBA ODZYSKAĆ MIEJSCA DLA MARII MAGDALENY

„Ojcowie wczesnego Kościoła wyrażali poglądy, które wciąż istnieją w męskiej podświadomości – stwierdza Mary Kenny, inna badaczka feministyczna. – Istnieje ciągle w mężczyźnie prymitywny strach przed kobietami. Mężczyzna boi się kobiet z różnych powodów: boi się on jej gniewu, który jest elementem jego pamięci własnego dzieciństwa, kiedy znajdował się pod władzą matki, kiedy to matka miała środki, aby albo go zmusić, albo złamać, czy to dając mu, czy też odbierając miłość i pokarm; mężczyzna także obawia się »irrationalnej«, »prymitywnej« natury kobiety, gdyż uważa się, że logika kobiety jest intuicyjna i dlatego nie wolno na niej polegać, aby wydać sąd oparty na spójnej strukturze męskiej logiki”. Wniosek, który wyciąga autorka – w patriarchalnej strukturze i w kontekście jej czasów zabrakło miejsca dla Marii Magdaleny.

Wszystkie te arbitralne, emocjonalne, pozbawione krytycyzmu opinie powielił też profesor z Harvardu. Oto co pisze na temat sceny spotkania Jezusa i Marii Magdaleny w „Ewangelii św. Jana” Karen Leigh King: „Cała scena [objawienia się Jezusa Marii Magdalenie] w Ewangelii Jana ma na celu podporządkowanie autorytetu Marii jako świadka zmartwychwstania autorytetowi uczniów mężczyzn; dokonuje się to szczególnie przez ograniczenie jej misji do tego, żeby dała świadectwo tylko pozostałym uczniom”. Słowa Jezusa: „Idź do moich braci i powiedz im: Wstępuję do mojego Ojca i waszego Ojca, do mojego Boga i waszego Boga” (J 20, 17) są traktowane jako dowód męskiej manipulacji dokonanej zapewne przez autora czwartej Ewangelii. King sądzi, że w pierwotnej wersji przekazu żadnych takich ograniczeń nie było, a Maria Magdalena została posłana nie do braci Jezusa, ale do wszystkich wiernych, którym miała przepowiadać nauki i głosić zmartwychwstanie. Dowód? Tych nie potrzeba. To się wie, to się czuje. To się rozumie. Tak samo jak samo przez się rozumiało się, że dostarczony prof. King skrawek papirusu zawierał autentyczny tekst grupy chrześcijan z II w. po Chrystusie, którzy sądzili, że Jezus miał żonę. Tak jak samo przez się rozumiało się, że taka tradycja została

wypchnięta na margines przez androcentryczny Kościół i po XX wiekach odsłonięta światu przez profesor z Harvardu.

FETYSYZM I SEKS NA OSTRO

Odpowiedź na pytanie o motyw, którym kierował się zapewne Walter Fritz, przekazując prof. King sfałszowany papirus, znowu przyniosło badanie Internetu. Okazało się, że od 2003 r. Fritz... prowadził kilka stron pornograficznych, na których zamieszczał filmiki pokazujące jego żonę uprawiającą seks z innymi mężczyznami. W ciągu kilku lat niedoszły magister egiptologii, były dyrektor muzeum Stasi w Berlinie Wschodnim oraz były przedstawiciel firmy produkującej fragmenty do produkcji hamulców dla BMW – jednym słowem, Walter Fritz – osiągnął nawet, jak wynika z cytowanych przez Sabara e-maili i komentarzy, pewien rodzaj renomy w kręgach zainteresowanych tego rodzaju rozrywką. Zarządzane przez niego strony pornograficzne działały do 2015 r.

Okazało się, że ze stron tych regularnie korzystało niemal 50 tys. zarejestrowanych odbiorców. Przez kilka lat dawało to parze małżonków całkiem niezłe dochody – opłata za korzystanie ze stron wynosiła 25 dol. od osoby miesięcznie. Prawdziwe znaczenie tej informacji stało się jasne, kiedy Sabar sięgnął ponownie do „Kodu Leonarda da Vinci”, książki, która zrobiła niebywałą furorę na krótko przed publikacją papirusu przez prof. King. Zbieżność czasowa i tu była wyraźna. Dan Brown wydał swoją powieść w 2003 r., Walter Fritz uruchomił swój pornograficzny portal z żoną jako gwiazdą porno ledwo kilka miesięcy później.

Teraz wszystko stało się jasne: Fritz widział zapewne w żonie nową Marię Magdalene, która w przeciwieństwie do swej chrześcijańskiej protagonistki postanowiła uświęcić seks. W jego oczach prawdziwe chrześcijaństwo nie miało wiele wspólnego z tym, które przekazał Kościół w Ewangelii. Kościół – tak jak to przekazuje w książce Dana Browna prof. Robert Langdon, notabene również profesor Harvardu – był od początku wrogiem seksu i dlatego uznał erotyzm za coś grzesznego. Prawda jednak była całkiem inna i przechowywała ją zniszczone przez hierarchów tajemnicze, apokryficzne ewangelie. To one opowiadały o małżeństwie Jezusa z Marią Magdalena. W książce można też znaleźć opowieść o tajemnym stowarzyszeniu, przechowującym pamięć o małżeństwie Jezusa.

Przynależność do niego łączyła się z udziałem w rytualnych orgiach.

W 2015 r. żona Fritza, główna bohaterka pornograficznych filmów, na których występuje z innymi mężczyznami, opublikowała książkę, zbiór „uniwersalnych prawd” zapisanych pod wpływem – jak utrzymywała – Boga i Michała Archanioła. Wyglądało na to – pokazał Sabar – że Fritz wraz z żoną uznali „Kod Leonarda da Vinci” za swoistą księgę objawioną. W książce „odkrycie” potomków Jezusa i Marii Magdaleny staje się możliwe dzięki temu, że fikcyjny profesor Langdon znajduje tajemniczy skrawek papirusu. W rzeczywistości rolę Langdona odegrała prof. King, którą doprowadził do działania, obwieszczenia światu odnalezienia tajemnego tekstu, przekazany jej skrawek papirusu.

Kiedy Sabarowi w końcu udało się doprowadzić do spotkania z Fritzem, wszystkie jego ustalenia zostały potwierdzone. Chociaż Fritz nadal twierdził, że nie był fałszerzem, to przyznał się, że to od niego papirus dostała prof. King. Nie umiał wytłumaczyć żadnej ze sprzeczności. Ani tego, skąd Laukamp miał papirusy, ani tego, w jaki sposób zmarły Niemiec zawarł z nim kontrakt w USA w listopadzie 1999 r., kiedy to przebywał w Europie przy łóżku śmiertelnie chorej żony. Kłamał w żywe oczy. Najciekawsze zaś było to, że w pewnej chwili Fritz zaproponował Sabarowi napisanie powieści, której przedmiotem byłaby Maria Magdalena, „stłumienie żeńskiego elementu w Kościele” i autentyczność ewangelii gnostyckich. Lepsze to niż reportaż o papirusie – mówił.

Ariel Sabar opublikował swój artykuł trzy lata temu. Mimo tego Karen Leigh King kieruje bez zmian najstarszą ufundowaną katedrą teologii w USA. Nadal jest uznawana za eksperta i autorytet. Nadal cieszy się uznaniem i edukuje kolejne pokolenia teologów, zatrudnianych później na innych, nie mniej prestiżowych i wpływowych uniwersytetach. Dalej głosi teorię o marginalizowaniu kobiet. Podobnie swój autorytet zachowali wszyscy inni profesowie, którzy bez mrugnięcia okiem przyjęli i potwierdzili autentyczność skrawka papirusu, który – jak wynika ze śledztwa Sabara – był fałszerstwem Waltera Fritza. Być może zmieniło się jedno: bardzo, bardzo niechętnie wszyscy oni odwołują się do „Ewangelii żony Jezusa”. No bo czy to w ogóle ma znaczenie?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKI

Operacja „Davies”



Piotr Zychowicz

Profesor Norman Davies w latach 80. padł ofiarą żydowskiego lobby. Szczegóły szokującej afery opisał w swoich wspomnieniach

To jedna z najbardziej podłych afer, do których doszło na amerykańskich kampusach w ich długiej historii. Jej ofiarą padł brytyjski prof. Norman Davies, wybitny znawca dziejów Polski i Europy. Sprawcami intrygi była anonimowa grupa naukowców,

która za pomocą zakulisowych działań postanowiła zniszczyć jego karierę. Powód? Norman Davies w swoich pracach zbyt mało krytycznie pisał o postawach Polaków wobec Żydów.

Uwaga! Artykuł ten nie ma na celu promowania antysemityzmu. Ma przedstawić fakty.

ZADŻUMIONY

Wszystko zaczęło się w roku 1984, gdy Norman Davies otrzymał zaproszenie do ubiegania się o katedrę na Uniwersytecie Stanforda w Kalifornii. W swoich wydanych właśnie w Polsce wspomnieniach „Davies sam o sobie” (Znak) profesor tak opisuje nastrój tamtych dni: „Warunki do życia były tam świetne: słońce, palmy,

wspaniały klimat. Do tego prywatny uniwersytet, zamożny i elitarny, oraz wynagrodzenie trzy razy większe od tego, jakie zwykły wykładowca dostawał w Londynie. Postanowiłem kandydować”.

Proces aplikacyjny był niezwykle długi i żmudny. Trwał niemal dwa lata. O otrzymaniu prestiżowego stanowiska miały – przynajmniej w teorii – decydować kwalifikacje: naukowy dorobek kandydata, jego wiedza, fachowość i zdolności pedagogiczne. Davies wypadł wspaniale i znalazł się na krótkiej liście kandydatów do posady.

Wiosną 1985 r. poleciał do Ameryki, żeby wygłosić na Uniwersytecie Stanforda wykład dla kadry naukowej będący rodzajem egzaminu praktycznego.



FOT. JACEK SZYBOWSKI/FORUM

Zrobił świetne wrażenie, wkrótce po powrocie do Wielkiej Brytanii otrzymał wiadomość, że został oceniony najwyżej. A więc sukces, praca marzeń należała do niego! Profesor razem ze swoją polską żoną Marią wyjechali rozpocząć nowe życie w Stanach Zjednoczonych.

„W Ameryce procedura wyboru profesora to poważna operacja, reguły jednak są demokratyczne i przejrzyste – pisze Davies – zaraz po świętach Bożego Narodzenia 1985 roku dostałem oficjalny list od dziekana z informacją, że pomyślnie przeszedłem wszystkie stopnie kwalifikacji. Od 1 września następnego roku obejmę katedrę na stałe. To była kluczowa wiadomość. Zacząłem układać nasze nowe życie”.

Państwo Daviesowie postanowili kupić bardzo drogi dom na kampusie Stanforda. Wpłacili jedną czwartą jego wartości jako zaliczkę, co wynosiło więcej niż ich całe życiowe oszczędności. Wszystko szło świetnie aż do pewnego wieczoru.

„Zadzwonił telefon – wspomina Davies. – Pełniący obowiązki przewodniczącego Wydziału Historii w Stanfordzie powiedział grobowym głosem:

– Pojawił się pewien problem. Na pana miejscu wróciłbym do Londynu i zapomniał o wszystkim. Nie dostanie pan tej posady.

– Przepraszam, ale przecież mam list od dziekana. Co pan ma na myśli? Czy ten list jest nieważny?

– Przepraszam, nie wolno mi więcej powiedzieć. Do widzenia.

Poczułem, że ziemia usuwa mi się spod nóg. Znaleźliśmy się w trudnej do wyobrażenia sytuacji. Poszedłem do dziekana. Ten na moje pytania i prośby o wyjaśnienie powiedział tylko: »Przepraszam, ale nie wolno mi o tym rozmawiać«.

Spotkałem się kolejno z co najmniej siedmioma urzędnikami różnych szczebli uczelnianej administracji i od każdego usłyszałem to samo: »Przepraszam, ale nie wolno mi o tym rozmawiać«. Nikt mi niczego nie wyjaśnił. Akurat wtedy okazało się, że moja żona jest w ciąży”.

Sytuacja była o tyle absurdalna, że Norman Davies zaczął już prowadzić na Stanfordzie zajęcia! Profesor zwrócił się więc do rzecznika praw pracowniczych na uniwersytecie. Pełniła tę funkcję pewna pani, która podczas spotkania przeszła załamanie nerwowe. Rozpłakała się, ale rozłożyła bezradnie ręce. Jej również zabroniono o tym rozmawiać.

„Sytuacja jak z Kafki – pisze Norman Davies. – Zauważyłem, że na korytarzach i we wspólnych pomieszczeniach wszyscy koledzy omijają mnie jak zadżumionego. Z jakiegoś niewyjaśnionego powodu stałem się pariasem, poddanym ostracyzmowi i obłożonym niewypowiedzianą klątwą wyrzutkiem. Spotkała mnie, jak określiliby to starożytni Rzymianie, proskrypcja i podejrzewałem, że mogą za tym stać tylko najwyższe władze uczelni”.

SĄD KAPITUROWY

Oczywiście tajemnicy nie udało się długo utrzymać i profesor stopniowo dowiedział się, o co chodzi. O tym, do jakie-

go stopnia sterroryzowani byli wówczas amerykańscy naukowcy, świadczyć może ta kuriozalna scena.

„Pewnego dnia – opisuje Davies – gdy jechałem przez kampus na rowerze, zatrzymał mnie emerytowany profesor Lewis Spitz, który dosłownie wyskoczył z krzaków, by zastąpić mi drogę. »Na pańskim miejscu – wyszeptał mi do ucha – przekazałbym datek na Palestyńczyków«”.

Davies wkrótce dowiedział się, że na Stanfordzie został zorganizowany rodzaj sądu kapturowego. Było to nadzwyczajne posiedzenie rady wydziału, na którym unieważniono decyzję o przyznaniu mu katedry! „W niejasny dla mnie sposób – pisze Davies – wynik tej wątpliwej procedury został narzucony dziekanowi i wyższym organom uczelni”.

Kto stał za tą intrygą? Jak to zwykle bywa w takich przypadkach, sprawy pozostały anonimowi. Nie odważyli się żyrować skandalicznej decyzji swoimi nazwiskami, bali się też konfrontacji z samym profesorem. Innymi słowy – była to grupa tchórzów.

„Nikt z tych ludzi nigdy nie rozmawiał ze mną twarzą w twarz – pisze Norman Davies. – Po jakimś czasie okazało się, że najbardziej napastliwie wypowiadał się na mój temat Harold Kahn, a swojej wrogości do mnie nie krył też uczeń brytyjskiego historyka Erica Hobsbawma Peter Stansky”.

Trudno nie zauważyć, że cała wspomniana trójka była Żydami. Eric Hobsbawm był marksistowskim badaczem, który w swoich pracach gloryfikował Związek Sowiecki i odmawiał przyjęcia do wiadomości bolszewickich zbrodni. A Harold Kahn był znanym przeciwnikiem wojny z komunizmem w Wietnamie.

W swoich wspomnieniach Norman Davies pisze jednak elegancko, że odrzucił teorię „żydowskiego spisku”.

„Sprzeciw wobec mojej nominacji – pisał – w oczywisty sposób wynikał z rzeczy, które napisałem o historii stosunków polsko-żydowskich, ale oponenti niekoniecznie wywodzili się z tego środowiska. Ważną rolę odegrały poprawność polityczna i zwykła ignorancja, a na prawdopodobnego herszta całej grupy typuję człowieka, który Żydem wcale nie był.

Był Szkotem, który postanowił zrobić karierę na modnym temacie antysemityzmu i któremu jakimś cudem udało się uzyskać tytuł profesora bez

opublikowania choćby jednej książki. Prowadził on wykłady zatytułowane »Antysemityzm w starożytności«, »Antysemityzm w średniowieczu« i »Antysemityzm w nowożytnej Europie«. Mogę się mylić, ale wydaje mi się, że on głównym podejrzanym, gdyż nikt inny nie miał tak oczywistego motywu, by pozbyć się konkurenta, który mógłby zaproponować studentom bardziej zróżnicowane menu».

Davies podkreśla również, że nie wszyscy naukowcy żydowskiego pochodzenia poparli wymierzoną w niego intrygę. Wśród nich było bowiem wielu przyzwoitych ludzi, którzy podobnymi zakulisowymi działaniami po prostu się brzydzili. Norman Davies otrzymał wsparcie m.in. od Richarda Pipesa i Antony'ego Polonsky'ego.

Co ciekawe, skontaktował się z nim nawet Czesław Miłosz, który korespondował w tej sprawie z Jerzym Giedroyciem.

„Mój Drogi – pisał redaktor paryskiej »Kultury« do Miłosza. – Bardzo mnie poruszyła sprawa Normana Daviesa. Teraz dostałem trochę szczegółów od Nowaka o akcji Kahna, który jest podobno specjalistą od historii starożytnych Chin. Myślę, że ten jaskrawy wybrzyk antypolonijny, który coraz bardziej występuje wśród żydostwa amerykańskiego, wymaga reakcji, nie mówiąc już o konieczności obrony samego Daviesa».

Dopiero gdy Norman Davies wszczął kroki prawne, władze uniwersytetu raczyły oficjalnie wyjaśnić mu powody swej decyzji. W liście od prorektora Jamesa N. Rosse'a z 2 maja 1986 r. profesor przeczytał, że... w swojej książce „Boże igrzysko” w nieodpowiedni sposób nasświetlił problematykę żydowską.

„Przedstawienie historii Polski w książce – czytamy w dokumencie – nie było w wystarczający sposób krytyczne i została w niej przekroczona subtelna granica dzieląca historiografię empatyczną od apologii lub stronnictwa. Ta uwaga odnosiła się do rozdziału »Bożego igrzyska« dotyczącego Żydów, który krytycy uznali za nie tylko pozbawiony empatii, ale także stanowiący niedopuszczalną obronę postępowania Polaków. Rozdział o Żydach uznano za typowy przykład ogólnego braku obiektywizmu».

Było to oskarżenie kuriozalne. Po pierwsze bowiem, było nieprawdziwe. A po drugie, czyż można sobie wyobrazić sytuację odwrotną? Czyli żeby jakiś profesor nie dostał pracy na Stanfordzie, ponieważ jego książka została uznana

za zbyt „prożydowską”? Jest to oczywiście pytanie retoryczne.

„Żaden człowiek, który broni postawy Polaków wobec Żydów podczas wojny, nie jest godny być profesorem tej uczelni” – skomentował w swoich wspomnieniach list od prorektora Davies. I ujawnił, że żaden z jego oskarżycieli nawet nie zadał sobie trudu, by „Boże igrzysko” przeczytać.

Davies dowiedział się później, że naukowcy po prostu karnie zastowali się do okólnika, który wysłała im wpływowa żydowska organizacja B'nai B'rith, jeden z filarów tzw. żydowskiego lobby w USA. Napisano w nim, że Norman Davies „jest szkodliwy i trzeba zablokować objęcie przez niego prestiżowej katedry”.

NAGONKA

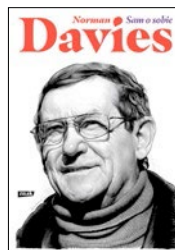
Tymczasem przeciwnicy Daviesa przeszli do ataku. Rozpoczęła się, nieodzowna w takich przypadkach, nagonka.

We wrześniu 1986 r. w gazecie „The Stanford Daily” wydrukowany został – jak określił to Davies – „niebawym, na pastliwy list”. Potępiano w nim profesora za zamiar wytoczenia procesu uczelni. Jego adwokata nazwano – a jakżeby inaczej! – „antysemitą”, a samego profesora „łatwowiernym naiwniakiem”.

„Jak tak dalej pójdzie, zobaczymy palone na dziedzińcu książki” – napisał autor listu. A był nim... miejscowy rabin. Pod listem podpisało się też kilku innych duchownych ze Stanfordu. Między innymi książd!

„Poszedłem do podpisanego pod listem księdza – pisze Davies – żeby usłyszeć jego wyjaśnienie, ale udał, że nie wie, o co chodzi. »Kolega rabin czasem podpisuje moje okólniki – wyjaśnił – a ja popieram jego inicjatywę«. »W porządku – powiedziałem z niedowierzaniem – ale czy ksiądz kiedyś słyszał o prawdzie i o chrześcijańskim miłosierdziu?«».

Niestety, wszelkie działania podjęte przez Daviesa, jego przyjaciół i innych porządných ludzi nic nie dały. Katedrę na Stanfordzie profesorowi odebrano, a zaliczka na kupno domu w Kalifornii przepadła. „Bez pardonu wyrzucono nas z mieszkania – wspomina Davies. – Swoje walizki, drobne meble i osobiste rzeczy znaleźliśmy na ulicy. Straciliśmy wszystkie pieniądze”.



NORMAN DAVIES
„SAM O SOBIE”
ZNAK 2019

Państwo Daviesowie musieli wrócić do Wielkiej Brytanii. Amerykańskie marzenie rozwinęło się w powietrzu jak dym.

„Świątek akademicki szczególnie obfituje w ludzi niegodziwych – ocenia po latach tamte wydarzenia Norman Davies – a moje bolesne doświadczenie w żadnym razie nie było czymś wyjątkowym. Ten konkretny incydent nie był zwykłym wypadkiem przy pracy. To, co spo-

tknęło mnie w Kalifornii, było wynikiem celowych machinacji specyficznej grupy akademików. Ich wyczyny nie zdołały zabić we mnie przekonania, że warto być wspaniałomyślnym, gdy tylko jest to możliwe. Z drugiej strony nierozsądne byłoby założyć, że na szczytach uczelni niepodzielnie panują dobra wola, sprawiedliwość, rzetelna wiedza, zaufanie, tolerancja oraz otwartość na odmienne opinie”.

Tak, niestety świat nie jest idealnym miejscem. A opowieść ta ma smutny morał. Wygrali bowiem źli ludzie. Wszyscy historycy na świecie otrzymali zaś wyraźny sygnał: jeżeli chcecie robić kariery, jeżeli chcecie opływać w pieniądze i zaszczyty – piszcie o przeszłości w sposób „słuszny”. Inaczej żydowskie lobby was zmiążdży.

Gdy przeczytałem wspomnienia Normana Daviesa zadzwoniłem do niego, żeby wyraził mu swoje poparcie i oburzenie na sposób, w jaki został potraktowany przed 35 laty.

– Tak, to była bardzo nieprzyjemna historia – powiedział w rozmowie telefonicznej z Oksfordu. – Niestety, na amerykańskich uniwersytetach niewiele się zmieniło. Każdy z nich ma przydzielonego „komisarza politycznego”, który uważnie śledzi, co się mówi na wykładach i co się pisze. Należy jednak pamiętać, czym jest tzw. żydowskie lobby. Otóż w jego skład wchodzi nie tylko Żydzi. Ważnym jego elementem są protestanci, tzw. chrześcijanie-syjonisci, którzy z powodów religijnych popierają Izrael. Z kolei wielu Żydów potępia lobby i nie chce mieć z nim nic wspólnego.

Autorom intrygi na Stanfordzie udało się zwichnąć karierę prof. Normana Daviesa, ale nie udało im się jej złamać. Minęły lata i stał się on jednym z najwybitniejszych przedstawicieli anglosaskiej historiografii, napisał jeszcze wiele znakomitych książek. I to jest jedyna pozytywna strona całej tej ponurej historii.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Przekładanie ■ winy

Najnowsza książka Jana Grabowskiego pt. „Na posterunku. Udział polskiej policji granatowej i kryminalnej w zagładzie Żydów” (Wołowiec 2020) jest kontynuacją jego wcześniejszej twórczości, kierującej uwagę czytelnika na rzekomy straszliwy konflikt dwóch narodów: polskich zbrodniarzy i żydowskich ofiar. To jakby wyższy poziom rozważania o zagładzie, gdzie ideologia niemiecka schodzi w cień, przechodząc w lokalny konflikt narodowy. Grabowski wyraża to wprost: „Tak się jednak składa (czego starałem się dowieść na stronach tej książki), że granatowa policja miała



Leszek Żebrowski

Obarczając Polaków z granatowej policji nieudowodnionymi winami i odciążając Niemców, Jan Grabowski wybrał drogę na skróty, głównie umysłowe

niebagatelny udział w wymordowaniu polskich Żydów i wchodzi tym samym w pole zainteresowania badaczy Holokaustu. Więcej, granatowa policja stanowiła istotny, niekiedy niezbywalny element niemieckiej strategii eksterminacji europejskich Żydów.

Na dodatek polscy policjanci często mordowali Żydów na własną rękę, wykazując się przy tym ogromną inicjatywą. Żal tylko, że w sporze o polską niewinność mało kto pamięta o niepoliczonych dziesiątkach, setkach tysięcy żydowskich ofiar granato-



Druga wojna światowa, Polska pod niemiecką okupacją. Polski policjant (granatowy) i żydowski policjant kontrolujący dokumenty w getcie warszawskim FOT. ULLSTEIN BILD/GETTY IMAGES

wane i liczni oponenci wykazali, że są to wielkości całkowicie przez niego zmyślane. Idąc dalszym tokiem takiego rozumowania, to przecież i polskie podziemie też jest oskarżane o masowe zbrodnie w ramach zagłady. Kilka lat okupacji, kilka organizacji (prawie całe Polskie Państwo Podziemne), zatem pewnie też ze 200 tys. I już mamy 1 mln „polskich ofiar”!

Widać jednak u autora swoiste „dwojebowienie”. W innym miejscu Grabowski pisze bowiem (s. 111), że „od wiosny 1942 do wiosny 1943 ogromna większość polskich Żydów została wymordowana w obozach zagłady [...]”. Do obozów zagłady Polacy jednak wstępu nie mieli (nawet granatowa policja) z oczywistych względów, zatem masowe zbrodnie były tam dokonywane wyłącznie przez Niemców i ich pomocników z formacji sojuszniczych, ale nie Polaków. W ogóle autor nie może się ostatecznie zdecydować w sprawie winy. I tak np. uważa, że „skala tego »współsprawstwa« była niesłychana – swoją wydajnością mordercy w granatowych mundurach potrafili dorównać kolegom, niemieckim żandarmom i szupowcom” (s. 11). Czyli winni są pół na pół: Niemcy i Polacy. I z takim emocjonalnym sposobem rozważań mamy cały czas do czynienia na kartach tej książki.

ZA TRUDNA STATYSTYKA?

Oceniając historyczną pracę autora, który ma ambicje naukowe, należy wziąć pod uwagę to, co nazywa się warsztatem, czyli umiejętność posługiwania się odpowiednimi narzędziami. Do nich należą nauki pomocnicze, w tym statystyka. Z nią Grabowski ewidentnie sobie nie radzi, traktując to narzędzie całkiem dowolnie. Konieczna jest również znajomość epoki, czyli szerokie historyczne tło. Co się dzieje w innych krajach okupowanych przez Niemców, którzy wszędzie prowadzą politykę eksterminacyjną; jakie tam są zachowania podbitej ludności i jakie wykształciły się tam formacje kolaboracyjne, jaka była ich rola z zagładzie. Zjawisko masowej grabieży dóbr, opisywane przez autora, nie było przecież przypadłością Polaków i nie powinno się tego izolować z otoczenia, pomijając w dodatku chronologię.

Niemcy z terenów wcielonych do Rzeszy już na początku okupacji wyrzucili ok. miliona Polaków, grabiąc ich mienie ruchome i nieruchome. Podobnie było pod drugą okupacją, sowiecką. Tam załadowano do bydłych wagonów kilkadziesiąt tysięcy Polaków i wywieziono ich na Sybir. Mogli

wziąć ze sobą jeszcze mniej dobytku, niż pozwalali na to „u siebie” Niemcy. Tam obłowili się przede wszystkim niemieccy sąsiedzi i volksdeutsche. Pod Sowietami też były grabieże, ale czynili to głównie sąsiedzi żydowscy, którzy na masową skalę pomagali dekonspirować „wrogów ludu” przed NKWD i uczestniczyli w sporządzaniu odpowiednich list. Jest wystarczająco wiele zachowanych jednoznacznych przekazów o tym, mówiących, aby to zjawisko pominąć milczeniem.

Ponadto autor w ogóle nie odnosi się do zjawiska powszechnej grabieży w gettach i większych skupiskach żydowskich, dokonywanej przez pobratymców. Nie ma tu miejsca na szerszą analizę tego zjawiska, ale warto zwrócić uwagę, że nawet oficjalne instytucje w gettach, podlegające Judenratom, nastawione były nie na pomoc innym nieszczęśnikom, lecz na bezwzględny rabunek: „Sekcja żydowska Warszawskiego Wydziału Zdrowia wróciła od niemieckiego dowództwa ze ścisłym rozkazem utworzenia »jednostek higienicznych«, których celem miało być odwzieszenie brudnej populacji żydowskiej. Ludzie mieli być odwziewiani w publicznych łaźniach dezynfekcyjnych. Wiosną i latem 1941 r. jednostki te stały się nową plagą getta. »Dezynfektorzy« pojawiali się na danej ulicy, z pomocą policji zamykali budynek, a następnie przechodzili od mieszkania do mieszkania, zmuszając ludzi do wyjścia, po czym odprowadzali ich pod strażą do łaźni dezynfekcyjnej. Podczas nieobecności mieszkańców dezynfektorzy lub policja rabowali mieszkania, jednocześnie przeprowadzając ich dezynfekcję. Cuchnący środkiem dezynfekcyjnym, odwzieszeni mieszkańcy wracali z łaźni do swoich mieszkań, które cuchnęły innym środkiem i były obrabowane z większości rzeczy. Ludzie bali się policji i dezynfektorów bardziej niż epidemii tyfusu lub duru brzuszego – nie było władz, do których mogliby się zwrócić. Celem dezynfektorów były głównie duże budynki z dużą liczbą mieszkańców, gdzie można było więcej ukraść” (David J. Landau, alias Dudek, Janek and Jan, „Caged: A Story of Jewish Resistance”, Sydney 2000, s. 78). Rabunki i gwałty były domeną nie pojedynczych, zdemoralizowanych osobników, ale profesjonalnie stworzonych, bezkarnych w istocie struktur, co niekiedy kończyło się nawet morderstwami popełnianymi na opornych. Warto tu wspomnieć Urząd do walki z Lichwą i Spekulacją w warszawskim getcie (którym kierował rabin

wej policji, ludziach, którzy mogli ocaleć, którzy mieli sporą szansę na przeżycie wojny...” (s. 389). To ma być podsumowanie jego badań.

Na tym powinno się właściwie zakończyć recenzję, ponieważ ideologiczna pasja i ukierunkowana propaganda wzięły górę nad nauką, czyli próbą ustalenia, jak to właściwie było. Co to znaczy kilkadziesiąt tysięcy? To między 300 a 900 tys., czyli średnio 600 tys. ofiar „polskich policjantów”. Do tego powinniśmy dodać wcześniejsze „odkrycia” tego autora, jakoby polscy chłopcy zabili 200 tys. Żydów, co zresztą natychmiast zostało zakwestionowane.

Abraham Gancwajch) i jego znienawidzonych siepaczy. Urząd ten był powszechnie zwany żydowskim gestapo.

Taki sam los spotykał bogatych, od dawna zasymilowanych w swych krajach Żydów, nagle wywożonych na teren „Generalnej Guberni” (tym określeniem posługuje się Grabowski). Oni mieli prawo zabierania ze sobą całych wagonów wszelakich dóbr: mebli, dywanów, futer, wypakowanych waliz. Na stacjach końcowych ich dobytkiem bardzo pieczołowicie „opiekowali się” funkcjonariusze miejscowych Judenratów.

Tak było m.in. w Ostrowcu Świętokrzyskim: „W lutym, marcu i kwietniu 1941 r. przybyło z Austrii do Generalnej Guberni łącznie 10 transportów Żydów po 1000 osób każdy. [...] Jak wynika z zachowanych dokumentów, szczególnie smutnie osławiony Judenrat ostrowiecki przyczynił się do rychłego »pozbycia się« ze swego terenu niewygodnych wysiedleńców wiedeńskich, nie omieszkawszy przy tym zbyt pieczołowicie zaopiekować się ich dobytkiem, bagażami, walizkami (5 tys. sztuk) itd.”

Dla przedniej europejskiej inteligencji, ludzi od pokoleń zasymilowanych i integrowanych ze społecznościami, w których mieszkali, bez znajomości hebrajskiego i jidysz, było to przeniesienie do epoki jak ze średniowiecza, do świata, który znali być może z dawnych opisów, ale nie z autopsji.

„Mieszkańcy Wiednia znaleźli się nagle w małych mieścinach, a nawet zapadłych wioskach, w nader prymitywnych warunkach, gnieźdząc się w izdebkach kurnych chałup wiejskich lub nawet stodołach. Utrzymywali się z zamiany przywiezionych rzeczy, zwłaszcza odzieży, na żywność. Niektórzy z nich otrzymywali w dalszym ciągu paczki żywnościowe i inne od swych »aryjskich« przyjaciół i krewnych z Austrii. Wśród wysiedleńców była też znaczna liczba przedstawicieli wolnych zawodów (lekarze, dentyści, inżynierowie itd.), a między nimi spora rzesza bardzo wybitnych jednostek: profesorów, naukowców. Nagminnym zjawiskiem była w pierwszym okresie wędrówka wiedeńczyków ze wsi i małych osad do większych miejscowości. Wprowadzało to zamęt i wyczerpywało skromne mimo wszystko zasoby nieszczęśliwych wysiedleńców. [...] Na podkreślenie zasługują częste stosunkowo fakty (np. w powiecie opatowskim) występowania miejscowych chłopów w obronie »swoich« wiedeńczyków, zwłaszcza lekarzy i ich rodzin, domagających się pozostawienia

ich w spokoju na miejscu. Oddawali im swoje chałupy i zaopatrywali w artykuły żywnościowe. W niektórych wsiach nawet wójtowie, pod naciskiem miejscowych chłopów, specjalnie interesowali się losem Żydów wiedeńskich, udzielając im daleko idącej pomocy” (Adam Rutkowski, „Martyrologia, walka i zagłada ludności żydowskiej w dystrykcie radomskim podczas okupacji hitlerowskiej”, „Biuletyn ŻIH” 1955, nr 15–16, s. 93–94).

„Drastyczne wydarzenia miały miejsce również w małych, prowincjonalnych gettach. Oto np. niejaki Lubicz, członek żydowskiego Ordnungsdienstu (»policii«) w getcie w Międzyrzeczu Podlaskim, a następnie komendant tego getta, wpadł na pomysł, aby Żydów ograbić wcześniej,

aby je całkowicie ignorować. Podobnie było z mieszkaniem Żydów wysiedlanych do gett i pozostawionych w nich mieniem. Tu również, gdy się poważnie traktuje źródła, pojawia się zupełnie inny obraz sytuacji. Starsze publikacje żydowskie, pozbawione jeszcze ideologicznego zacietrzewienia, opisywały to zjawisko uczciwie. I tak w Drobinie (rejencja ciechanowska): „Warsztaty rzemieślnicze i sklepy zabrane zostały Żydom, łącznie z towarami i materiałami, które się w nich znajdowały. Również z mieszkań prywatnych hitlerowcy rabowali meble, ubrania, bieliznę, pościel, a nawet naczynia kuchenne. W Makowie Mazowieckim: całe mienie żydowskie, zgromadzone w jednym miejscu, przekazane zostało do



Profesor Jan Grabowski
FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

nie czekając na ich odstawienie do obozu zagłady. Dotychczas Żydzi złapani w akcjach zabierali ze sobą pieniądze i drogocenności, które mogli ze sobą ukryć. Ogałano ich dopiero z tego wszystkiego w Majdanku i Treblince. Lubicz natomiast zaproponował Niemcom, aby ich ograbić i rozebrać do naga na miejscu, bo po co ten majątek ma wpaść w obce ręce. Żydów rozebrano do naga i tak wsadzono do wagonów. O tym, że była to jego inicjatywa, opowiadali niektórzy Niemcy, którzy nienawidzili takich zdrajców. Lubicz ograbił po tym magazyn z rzeczy lepszych, a gdy Niemcy się w tym zorientowali, zwałił winę na innych Żydów i ich rozstrzelano. Szóstą akcją [eksterminacyjną] Żydzi nazwali »małą Treblinką«” (Lejb Goldberg rel. ŻIH 301/3502).

ZUPEŁNIE INNY OBRAZ

Takich przekazów, pochodzących wprost od obrabowanych, jest zbyt wiele,

dyspozycji ludności niemieckiej miasta”.

W Sierpcu: „Do domów żydowskich okupant przesiedlił ludność polską, a z kolei zabudowania po Polakach przekazywane były Niemcom”.

Trudno sobie wyobrazić, że w innych miejscach było inaczej i polityka niemiecka nie była w tych sprawach skoordynowana na szczeblu centralnym. Niemieccy oprawcy, stosując perfidną zasadę „dziel i rządź”, wykorzystywali podziały wśród nieszczęśliwych Żydów i dodatkowo je tworzyli, nagradzając swych gorliwych pomocników, odraczając w nagrodę termin ich kaźni: „Smutną sławą cieszył się wśród ludności getta w Nowym Dworze Judenrat, wykonujący zawsze pilnie polecenia okupanta. Toteż hitlerowcy zrewanżowali się za świadczone im usługi. Wszystkich członków Judenratu, wraz z ich rodzinami w liczbie 42 osoby, hitlerowcy ulokowali w końcowym wagonie ostatniego transportu [12 XII

(1942)], a na stacji kolejowej w Warszawie wagon ten odczepili od całego składu i wszystkich jego pasażerów odprowadzili do getta w Warszawie. Takiego traktowania, takiej »łaski« oprawców, nie dostał nawet prezes Judenratu w Łodzi, oślawiony Chaim Rumkowski, którego hitlerowcy zawieźli razem z Żydami z getta łódzkiego do obozu zagłady w Oświęcimiu” (Michał Grynberg, „Getta w rejencji ciechanowskiej”, „Biuletyn ŻIH” 1980, nr 4/116).

Dodajmy do tego jeszcze bezczeszczanie zwłok i rabunek grobów żydowskich: „Grabarze otwierają groby, wyjmują biżuterię i złote zęby. [...] Na cmentarzach dzieją się niewybaczalne rzeczy, nie do opisania. Masowe mogiły i zbezczeszczanie zwłok przez doły społeczne, które wrzucają je do grobów jak psy. To nie wszystko. Okazuje się, że w nocy otwierają groby i wyjmują trupom złote zęby i kradną całuny. Niedawno prowadzono poważne dochodzenie na temat udziału żydowskiej policji w owych rabunkach. Jednym słowem: samo dno”.

To nie są opinie zatwardziały antysemitów. To Emanuel Ringelblum, którego świadectw Grabowski nie kwestionuje, ale tych dla siebie niewygodnych już nie zauważa.

WMAWIANIE ANTYSEMITYZMU

Zło nie ma narodowości i nie da się – jak robi to Grabowski – opisać Polaków wyłącznie jako sprawców, a Żydów wyłącznie jako ofiary. Bywało różnie i trzeba pisać prawdę, inaczej dążymy do zakłamania. Grabowski sprowadza jednak ówczesną sytuację do skrajnie nieprawdziwego obrazu, jakoby był to właściwie konflikt polsko-żydowski, w którym źli Polacy rabują i mordują dobrych Żydów, oni zaś są wyłącznie ofiarami. Co więcej, widać nieuprawnione niczym twierdzenia, jakoby Niemcy zabijali Żydów praktycznie tylko „na rozkaz i pod presją” (czyli w ten sposób są jakoś moralnie usprawiedliwieni), motywy Polaków (z granatowej policji) miały zaś... „głębsze korzenie”. I Grabowski je oczywiście ustalił. Miałyby to być antysemityzm, „od wieków podsycany przez Kościół katolicki”, oraz „indoktrynacja nacjonalistyczna” (s. 377). I wszystko jasne? Chyba jednak nie, skoro to Polska przez kilka stuleci (!) przyjmowała Żydów, wyrzucających praktycznie z całej Europy, nadając im bardzo szeroką autonomię, pozwalającą zachować własną tożsamość i religię, zwalniając ich z wielu powinności państwowych. Nie było też w Polsce (rów-

nież pod zaborami) zjawiska przymusowej polonizacji, dobrze znanego w krajach ościennych jako germanizacja czy rusyfikacja. W II RP ogromna część ludności żydowskiej nie nauczyła się nawet polskiego języka, dzieci i młodzieży nie posyłała do polskich szkół, nie integrując się z polskimi sąsiadami. Miało to później, podczas okupacji niemieckiej (1939–1945), fatalne konsekwencje. Jednak Grabowski i tak uważa, że „wielu Żydów poradziło sobie bez polskiej pomocy, wykazując się ogromną przedsiębiorczością i samodzielnością” (s. 13).

Pamiętajmy jednak, że wszystko odbywa się w warunkach zbrodniczej niemieckiej okupacji, kiedy ruch ludności jest całkowicie kontrolowany, są godziny policyjne, sprawdzanie dokumentów, zaświadczeń i przepustek. Biurokracja niemiecka jest ogromna i skrupulatna. Żywność i prawie wszystkie towary są reglamentowane. Do tego należy uwzględnić warunki klimatyczne. W lecie pojedyncza osoba lub mała grupka jest w stanie przetrwać (np. w lesie) kilka dni bez żywności. Ale na dłużej? Bez jedzenia, ciepłej odzieży, lekarstw? Z tez Grabowskiego wynika jednak, że Żydzi mogli przetrwać właściwie bez Polaków, bo ich pomoc była wyłącznie... zagrożeniem. Tylko co to ma wspólnego z nauką historii, gdzie wnioskowanie musi być uprawnione i oparte na ustalonych faktach?

Dopiero trzecim istotnym czynnikiem według Grabowskiego miała być chęć grabieży.

Mimo że już wiemy (i potwierdza to mimochodem sam Grabowski), że ogromna część zagłady dokonała się w obozach zagłady, czyli bez udziału, a nawet biernej obecności Polaków, to jednak pozwala sobie na takie stwierdzenia, które ich udział wytwarzają. Opisując likwidację getta w Węgrowie (a są już dostępne publikacje rzetelnie to przedstawiające), pozwala sobie na zapis o udziale wszystkich mieszkańców miasteczka: „W ciągu kilku godzin na oczach wszystkich mieszkańców na ulicach miasta oraz na pobliskim kirkucie wymordowano od tysiąca do dwóch tysięcy ludzi” (s. 164). Wszyscy to wszyscy, czyli byli wszędzie i przy każdej egzekucji. Ze źródeł zaś wiemy, że ofiar było ok. tysiąc a trwało to kilka tygodni, a nie jeden dzień, w którym teoretycznie można byłoby zgromadzić część (bo przecież nie wszystkich) mieszkańców i kazać im na to wszystko patrzeć.

Trudno poruszać tak rozgałęziony temat, nie mając pojęcia o polskiej konspiracji antyniemieckiej. Autor wprowadzie wie, że nawet Niemcy uważali, iż co najmniej 30 proc. granatowych policjantów było związane z polskim podziemiem. Jeden z kolejnych komendantów – Aleksander Reszczyński (lepiej zorientowany, bo sam był współpracownikiem kontrwywiadu KG ZWZ-AK) – szacował, że było to nawet 50 proc. Granatowych na terenie całej Guberni było maksymalnie ok. 15 tys., zatem na tle „policji żydowskiej” było ich kilkakrotnie mniej (a przykładowo tylko w Paryżu – zupełnie inaczej okupowanym – było ok. 20 tys. policjantów francuskich). W dodatku „policja żydowska” według świadectw tych, którzy przeżyli, była na ogół jeszcze bardziej okrutna i bezwzględna niż Niemcy. Oto np. wstrząsające świadectwo Chila Rozenfelda z Ostrowca Świętokrzyskiego o zagładzie tamtejszych Żydów (A ŻIH, 301/4428, relacja z 1 lutego 1950 r., a więc zaledwie kilka lat po opisywanych wydarzeniach). To był bezpośredni świadek, który dożył końca wojny dzięki Polakom. Takie – typowe przecież – relacje żydowskie Grabowski pominał:

„Policja żydowska – od momentu jej powstania byli gorliwsi od Gestapo; Nieszczęśliwi zmęczeni i spragnieni picia prosili żydowskich policjantów, by ci się zlitowali i podali im troszkę wody, policjanci żądali za wodę po 100 i 200 dolarów. Wodę dostali tylko ci, którzy dali żadaną sumę. Policjanci żydowscy krzyczeli do nieszczęśliwych: wam już wszystko jedno, pieniędzy [wam] nie trzeba; policja żydowska urządzała łapanki, a ludzi pobili do krwi; policja żydowska nadal znęcała się nad ofiarami hitlerowskiego terroru, w wielu wypadkach swoim sadyzmem przekroczyli samych gestapowców”.

Nie jest to przypadek wyjątkowy, jest dla danych wydarzeń typowy i powszechny. To też była policja, tyle że miała stały i bezpośredni dostęp do nieszczęśliwych, w przeciwieństwie do policji granatowej. Bez szerokiego tła, bez rozumienia, co i jak się wtedy działo, wszelkie wnioskowanie jest co najmniej ułomne i może być uznane za skrajnie nieobiektywne.

ZAKŁAMANIE A ZBADANIE

Wbrew pozorom Grabowski nie korzysta z bardzo szerokiej bazy źródłowej. Jest ona dość ułomna i nastawiona wyłącznie na wyłuskiwanie zdań



JAN GRABOWSKI
„NA
POSTERUNKU”
WYDAWNICTWO
CZARNE 2020

■ i fragmentów, mogących służyć za podparcie jego tez, pochodzi z kilku czy kilkunastu miejscowości, z pominięciem innych, o wiele bardziej licznych. Przez odrzucanie źródeł przeczących jego twierdzeniom jest jednostronna i prowadzi donikąd. W dodatku widać jego nieporadność (czasem zaś ewidentnie złą wolę) – w 1941 r. nie było AK; brane na poważnie gazetowe „informacje”, jakoby w niektórych oddziałach partyzantkich odbywały się specjalne okresowe „schwanzparady”, polegające na rzekomym obnażaniu się, w celu poszukiwania osobników... obrzezanych, choć do partyzantki nikt przypadkowy nie trafiał (bo to była kwestia nie tyle zaufania, ile wprost życia i śmierci). Przeglądy czasem faktycznie robiono, ale wyłącznie z powodów higienicznych.

Zakłamał, a nie zbadał sprawę Marceliego Handelsmana i rzekome „listy proskrypcyjne” NSZ, podobnie jest ze sprawą ks. Trzeciaka i ks. Pudra. Nie potrafi właściwie opisać udostępnionych fotografii – tam, gdzie są wyłącznie granatowi, Grabowski dostrzegł Niemca, w dodatku dorobił mu w opisie mundur żandarmerii (s. 145). Na innym – fakt, że zdjęciu dziwnym – osobnik w masce to „być może to ktoś schwytyany przez pozujących dumnie do zdjęcia niemieckich i polskich policjantów” (s. 152). Nie wzbudza jego wątpliwości fakt, że wygląda bardziej na zbratanego z Niemcami niż ich ofiarę. Niemcy są zadziwiająco blisko, wprost się o niego ocierają, a u jego stóp leży spokojny policyjny pies...

No i osławione „sierpniówki” jako źródło wiedzy. Były to procesy komunistyczne, na podstawie zbrodniczego dekretu PKWN z 31 sierpnia 1944 r. (o wymiarze kary dla faszystowsko-hitlerowskich zbrodniarzy winnych zabójstw i znęcania się nad ludnością cywilną i jeńcami oraz dla zdrajców narodu polskiego). Wszystkim oskarżanym na jego mocy o cokolwiek groziła kara śmierci. Nie było wówczas normalnego państwa, a stosowanie komunistycznego „prawa” urągało pojęciu praworządności. Dokumenty tam zgromadzone nie mogą być zatem jednoznacznie źródłem historycznym, powinny być weryfikowane z należytą starannością. Grabowski tak jednak nie uważa.

Złożmy to wszystko na karb jego nieporadności i nieznajomości realiów

okupacyjnych. To i tak aż nadto, aby jego opracowanie traktować jako wątpliwe i w sumie nieprzydatne. Jednak według niego nawet porównywanie roli policjantów żydowskich i polskich to już „teren negacjonizmu Zagłady” (s. 386) – jedni są bowiem katami, a drudzy... ofiarami.

Ma on w swym dorobku wiele odkryć: „... polscy policjanci niejednokrotnie mordowali Żydów (często swoich sąsiadów, ludzi dobrze im znanych z lat przedwojennych) w tajemnicy przed Niemcami. [...] Niemcy, bezpośredni przełożeni granatowych policjantów, najczęściej nie mieli najmniejszego pojęcia o mordach dokonywanych przez polskich podwładnych” (s. 11). W ten sposób drastycznie kurczy się przestrzeń do obwiniania sprawców, czyli Niemców, przez redukcję liczby ich ofiar (gdy już milion można zrzucić na karb Polaków); ich „usprawiedliwianie” wykonywanymi rozkazami; czy wprost „jedynie nadzór niemiecki działań w pewnym sensie hamujący [...] na zakres samowolnych działań polskich policjantów” (s. 359). Oczywiście to nie jest negowanie zagłady, tylko podmiana sprawców, zatem jej zafałszowanie. Teraz lepiej i wyraźniej widać, czemu miała służyć kilka lat temu światowa nagonka na polskie państwo, aby nie dopuścić do jakiegokolwiek penalizacji oczywistych kłamstw z tego zakresu. Mają bowiem pozostawać bezkarne.

Ciekawe, czy Grabowski zna stanowisko prof. Andrzeja Żbikowskiego z ŻIH w sprawie krytycznego podejścia do źródeł (fakt, że pojawiło się ono dopiero przy opisach kolaboracji Żydów z Niemcami podczas okupacji, ma tu drugorzędne znaczenie). Otóż, recenzując jedną z prac (zob. Alicja Jarkowska-Natkaniec, „Wymuszona współpraca czy zdrada? Wokół przypadków kolaboracji Żydów w okupowanym Krakowie”, Kraków 2018), Żbikowski tak ocenia wykorzystanie materiałów śledczych i procesowych, dotyczących kolaboracji Polaków i Żydów z Niemcami:

„Tego typu materiały są bardzo trudne do analizy historycznej, szczególnie w sytuacji dużego dystansu czasowego, gdy żaden z przesłuchiwanym nie może swoich zeznań odwołać bądź uzupełnić. Pułapki czekające na badacza są zatem liczne. Jak z tego wybrnąć i czy autorka

podobała temu zdaniu? Moim zdaniem tak, gdyż wybrała jedyną prawidłową metodę badawczą: brać za pewnik tylko te informacje, które znajdują potwierdzenie w kilku, całkowicie odrębnych źródłach. A że wynik będzie wówczas mniej imponujący, mniej będzie przestępców i ich dowiedzionych zbrodni – cóż, taka dola uczciwego historyka”.

Nie ma wątpliwości, że stosując się do tego zalecenia, Grabowski popadłby w swoistą niedolę i z jego książki „Na posterunku” pozostałoby bardzo niewiele. Chcąc być historykiem uczciwym, musiałby wykonać gigantyczną pracę na wielostronnych i wszechstronnych źródłach i dopiero na nich oprzeć swoje wnioski. Wybrał jednak drogę na skróty, w tym głównie umysłowe. Do tego trzeba zauważyć atmosferę grozy, w której musiał pracować w archiwach IPN: „Osobne podziękowanie należy się archiwistom z Instytutu Pamięci Narodowej, którzy w ciągu lat sprawili, że mogłem wydajnie pracować w czytelnicy przy pl. Krasińskich w Warszawie. Z oczywistych względów wolę nie wymieniać ich nazwisk i niniejszym składam im podziękowania zbiorowe” (s. 8). Co zaś im groziło za wykonywaną w ramach obowiązków pracę – nie podaje, ale można sobie wyobrazić komentarze i uwagi czytelników zagranicznych. Oto nawet niektórzy urzędnicy państwowi, ci uczeni, ale zagrożeni (a takimi są archiwiści IPN, pomagający Grabowskiemu) pracują w warunkach terroru, prawie w podziemiu, ryzykując... no właśnie, czym?

W USA i w ogóle na świecie historią lat 1939–1945, głównie zagadnieniem zagłady Żydów w Europie, zajmują się przede wszystkim autorzy żydowscy. Redukują prawie wszystko do zagłady, a nie wojny jako takiej, bo ta jest tylko tłem. Jest to w jakiś sposób (dla nich) zrozumiałe, bo to jest „ich” historia, a nie powszechna. Mówił o tym w 1997 r. historyk amerykański Peter Novick (w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej”): „Być może w USA istnieje kilku nieżydowskich historyków zajmujących się holokaustem, ale to wyjątki – zdecydowana większość z nas to Żydzi”.

W obecnej Polsce jest podobnie. Pozycje wyjątkowe, oparte na poważnej bazie źródłowej – jak choćby wydana rok wcześniej pionierska praca prof. Bogdana Musiała: „Kto dopomoże Żydowi...” (Poznań 2019) są dla Grabowskiego niewidoczne.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Łukasz Warzecha

Stwierdzenie, że czarni Amerykanie popełniają przestępstwa częściej niż przedstawiciele innych grup w stosunku do tego, jaką część społeczeństwa stanowią, nie jest przejawem rasizmu, tylko zwykłym stwierdzeniem faktu

Jeśli burmistrz Minneapolis ugnie się przed radnymi, w mieście, w którym zginął George Floyd, może nie być policji. Rada miasta zdecydowała o zaprzestaniu finansowania miejscowej organizacji policyjnej (w USA miasto czy powiat może mieć własną policję). W radzie miejskiej Minneapolis w obecnej kadencji większość ma Demokratyczna Partia Rolniczo-Robotnicza (Democratic Farmer-Labor Party – DFL), stowarzyszona z Partią Demokratyczną. Ma w 13-osobowym gremium 12 miejsc. Trzynaste należy do Zielonych. To znaczy, że miastem niepodzielnie rządzi lewica, i to od początku 2018 r.

Na fali populistycznego wzburzenia radni Minneapolis chcą z policji w ogóle zrezygnować. Reporter CNN pytał niedawno Lisę Bender, przewodniczącą rady miasta, co w praktyce ma oznaczać zaprzestanie finansowania policji. Wyjaśniła, że policja ma zostać rozwiązana, a w zamian ma powstać „nowy model wspólnotowego bezpieczeństwa”. Reporter dopytywał, na czym to ma polegać. Bender odrzekła, że w związku z kryzysem trzeba będzie przyciąć budżet, a ona już w przeszłości doprowadziła kilkakrotnie do przesunięcia funduszy z policji do „opartych na społecznościach strategii bezpieczeństwa”. Dalej tłumaczyła, że z analizy telefonów na numer alarmowy 911 (amerykański odpowiednik 112 i 997) wynika, że ludzie potrzebują głównie pomocy psychologicznej, a nie policyjnej.

CZYM TO GROZI

Jeżeli decyzja o rozwiązaniu policji miasta Minneapolis zostanie faktycznie podjęta, nietrudno się zorientować, co stanie się dalej. Pierwszą konsekwencją będzie natychmiastowy wzrost przestępczości. Mam nadzieję, że po jakimś

czasie zostaną upublicznione nagrania z numeru 911, gdy ktoś będzie dzwonił ze zgłoszeniem, że włamują mu się do domu, a w odpowiedzi usłyszy kojący głos zaangażowanego przez miasto psychologa, doradczającego spokój i ćwiczenia oddechowe.

Druga konsekwencja to wzrost sprzedaży broni palnej – obywatele słusznie uznają, że będą musieli bronić się sami. Trzeci skutek to wypełnienie próżni po rozwiązanej policji. Będą to, po pierwsze, prywatne formacje ochroniarskie, w których zapewne znajdą zatrudnie-

Stanów Zjednoczonych. Przedsmak tego mogliśmy zobaczyć przy okazji incydentu z Buffalo, gdzie funkcjonariusz grupy szybkiego reagowania popchnął mocno starszego mężczyznę, zastępującego mu drogę. Mężczyzna upadł, uderzył głową o chodnik, znalazł się w szpitalu. Dwaj policjanci zostali w związku z tym incydem zawieszni (bez poborów) i oskarżeni o pobicie – do czego się nie przyznają, tłumacząc, że wykonywali rozkazy zastępcy komendanta policji w mieście. Zaraz po ich zawieszeniu z pracy w oddziale zrezygnowali wszyscy



Rasizm urojony

nie zwolnieni policjanci. Te staną się rodzajem prywatnej policji, chroniącej tych, których na to będzie stać. Powstaną też popularne w Stanach Zjednoczonych straż obywatelskie (vigilantes), będące zwykle solą w oku lewicy, ale też faktycznie mające w historii USA kilka niemiłych epizodów. Najslabiej na tej sytuacji wyjdą najubożsi, a już zwłaszcza Murzyni chcący żyć spokojnie i uczciwie.

Protesty Black Lives Matter wywołają też inny fatalny skutek już w skali całych

należący do niego funkcjonariusze (w liczbie 57). Tu pojawiły się sprzeczne wyjaśnienia. Związek zawodowy policjantów oznajmił, że rezygnacja jest wyrazem protestu przeciwko potraktowaniu zawieszonych kolegów. Tymczasem wkrótce potem pojawiły się w mediach głosy samych funkcjonariuszy, że to nieprawda: głównym powodem rezygnacji miała być informacja o wycofaniu wsparcia prawnego przez związek zawodowy i miasto.

To może być początek fali. W USA, gdzie przed sąd można trafić z naprawde banalnych powodów za sprawą pozwu cywilnego, policjanci muszą mieć pewność, że ktoś zapewni im pomoc prawną. Ta bywa rujnująco droga. Tymczasem miasta sparaliżowane nową poprawnością polityczną wymuszoną przez BLM mogą zacząć wycofywać wsparcie prawne dla policjantów szczególnie w przypadku spraw, w których ofiarą będzie Murzyn, a funkcjonariuszem biały.

Skutki będą dwojakie. Pierwszy to masowe odejścia ze służby – tak jak w Buffalo,

dług oficjalnych amerykańskich statystyk wiktymizacyjnych za 2018 r. czarni stanowili 12 proc. populacji, ale aż 21,7 proc. sprawców przestępstw z użyciem przemocy oraz 10,8 proc. ofiar. Warto te dane porównać z liczbami dla trzech pozostałych największych grup etnicznych w USA. Biali to 62,3 proc. populacji, 50,2 proc. sprawców i 66,5 proc. ofiar. Czyli biali są sprawcami w mniejszym odsetku, niż by to wynikało z ich liczby w całym amerykańskim społeczeństwie, za to częściej stają się ofiarami przestępstw. Latynosi stanowią 17,1 proc. populacji, są sprawcami 14,4 proc. przestępstw oraz ofiarami w 13,9 proc. Azjaci to 6,3 proc. populacji, 2,5 proc. sprawców i 4,2 proc. ofiar. Trzeba podkreślić, że są to badania wiktymizacyjne, a więc najwiarygodniejsze z tych, które można przeprowadzić, wykraczające poza suchą policyjną statystykę.

Stwierdzenie, że czarni Amerykanie popełniają przestępstwa częściej niż przedstawiciele innych grup w stosunku do tego, jaką część społeczeństwa stanowią, nie jest przejawem rasizmu, tylko zwykłym stwierdzeniem faktu. Jeśli zaś ten fakt sobie uświadomimy, to w innym świetle zobaczymy dane, którymi żonglują zwolennicy ruchu Black Lives Matter, również w Polsce. Jedno z zestawień stało się szczególnie popularne po tym, jak w zmanipulowanym tekście o politycznym kontekście śmierci George'a Floyda umieścił ją portal BBC. Pokazuje ona porównanie odsetka śmiertelnych postrzeleń przedstawicieli poszczególnych grup etnicznych przez policję w USA z procen-tem, jaki te grupy stanowią w populacji (dane są za 2019 r., stąd nieco różnią się od tych w poprzednio cytowanym zestawieniu). Biali stanowią zatem 36,8 proc. ofiar policyjnej broni i 60,4 proc. populacji. Czarne ofiary to 23,4 proc. ogółu zastrzelonych, a 13,4 proc. populacji. Przesyłający sobie wykres prezentujący te dane twierdzą, że to niezbity dowód na rasizm amerykańskiej policji. Tymczasem jedyny wniosek, jaki z tego zestawienia można wyciągnąć, to ten, że policjanci mają częściej powody, aby strzelać – i zabijać na miejscu ze względu na stwarzane zagrożenie – właśnie czarnych niż białych. Jest to zatem raczej potwierdzenie hipotezy, że czarnoskórzy Amerykanie popełniają przestępstwa częściej niż inne grupy etniczne. Wcześniejsza statystyka udziału Murzynów w ogólnej liczbie przestępstw z użyciem przemocy ten wniosek potwierdza.

Mało tego – inne badanie z 2015 r. może wskazywać, że rzekome uprzedzenie rasowe białych policjantów jest mitem. Naukowcy z Uniwersytetu Michigan i Uniwersytetu Stanu Maryland sprawdzili – analizując informacje medialne, statystyki i zadając pytania wielu departamentom policji – na ile skłonni są strzelać do przedstawicieli mniejszości rasowych policjanci o określonym profilu etnicznym. Okazało się, że czarnoskórzy funkcjonariusze chętniej strzelali do czarnych cywilów niż do białych, biali – do białych, a Latynosi – do innych Latynosów. Badanie było kwestionowane przez innych naukowców. Jeden z nich zaprezentował w tym samym roku opracowanie, z którego wynikało, że nieuzbrojeni Murzyni byli 3,5 razy bardziej prawdopodobnymi celami użycia broni przez policję niż biali. Tyle że to z kolei badanie nie uwzględniało koloru skóry strzelającego policjanta. A przecież bez tego czynnika stawianie tezy o uprzedzeniu rasowym jest kompletnie nieuprawnione. Uprzedzenie rasowe może mieć miejsce tylko wówczas, gdy policjant i zatrzymywany są odmiennych ras.

BRAK BADAŃ

Żeby stawiać jakiegokolwiek tezy w kwestii domniemanego rasizmu amerykańskich policjantów, musielibyśmy dysponować wiarygodnymi danymi pokazującymi, że biali policjanci używali wobec czarnych szczególnie często nieproporcjonalnej do sytuacji przemocy, odsiewając wypadki, gdy wynikało to z uzasadnionej obawy, że jeśli nie zareagują ostro, sami padną ofiarą przestępcy. To nie usprawiedliwienie przekroczenia uprawnień, lecz wskazanie, że jego źródłem nie jest uprzedzenie rasowe, ale uzasadniona ogólnymi warunkami obawa o własne życie.

Takich całościowych badań jednak nie ma – również dlatego, że w systemie, w którym działa ok. 18 tys. oddzielnych formacji policyjnych, ich przeprowadzenie jest skrajnie trudne.

Lewicowych radnych w Minneapolis należałoby spytać, co zrobili przez ponad dwa lata swoich rządów, żeby naprawić tak podobno fatalną sytuację w tamtejszej policji. Stosując często przywołaną przez lewicę retorykę, można by wręcz się zastanowić, czy nie mają krwi George'a Floyda na swoich rękach.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Policja i protestujący w Nowym Jorku, 1 czerwca 2020 r. FOT. ANADOLU AGENCY/GETTY IMAGES

które zostało w tej chwili bez oddziały szybkiego reagowania. Drugi – policjanci, którzy pracy nie rzucają, zwłaszcza ci biali, będą woleli przymknąć oko na przestępstwa popełniane przez czarnych.

KTO JEST OFIARĄ?

Jednak – jak twierdzą zwolennicy ruchu BLM – wszystko to jest jedynie reakcją na systemowy rasizm amerykańskiej policji. Problem w tym, że tezy o systemowym rasizmie nie potwierdzają żadne dane. We-



Jak zostałem homofobem



Jacek Komuda

Wrogim „smalcem” albo „faszolkciem” zostaje się bardzo szybko. Wystarczy niewłaściwy post, słowo puszczone w sieć albo opowiadanie o pseudosłowiańskich rycerzach ścigających ostatniego światłego Euro..., przepraszam, Taurydyjczyka

Nigdy nie zabierałem głosu w dysputach między zwolennikami LGBT a szeroko rozumianą prawicą, do której ci pierwsi wrzucają jak do worka wszystkich mających poglądy odmienne niż „progresywne”. Jednak dzień po dniu bombardowała mnie agresywna ideologia, płynąca z mediów i wypowiedzi osób popierających lewicową wizję świata. Ot, choćby Olga Tokarczuk z jej kolonialnym szaleństwem, Szczepan Twardoch przypominający nam średnio raz w miesiącu, jakim to małym, zapyziałym zaściankiem jest Polska, Jaś Kapela i wielu, wielu innych. Większość z nich zachowuje minimum kultury osobistej, więc poglądy ich szanuję. Jednak od dawna spotykałem się z działalnością znacznie ostrzejszych postaci. Choćby Jacka Dehnela, agresywnego geja, atakującego każdego, kto ośmieli się chociaż pisać przeciwko światłym zachodnim dogmatom. Dehnel i jego gach Piotr Tarczyński nie przebierają w słowach, określając ludzi krytykujących LGBT nie tylko homofobami, lecz także „smalcami alfa”, „faszolkami”, prawicowymi ekstremistami itd. Lektura wypowiedzi i jego książek, takich jak: „Ale z naszymi umarłymi...”, uwidacznia też dziwne natręctwa autora – w tym kompleks „husarski”; niczego bowiem bardziej nie nienawidzi niż rekonstruktorów husarii, zwąc ich „huzarszami”. I z dziką nienawiścią opisuje, jak jeżdżą na rowerach, w zbrojach okrytych skórą lisów, znieważa, choć nigdy żaden z mych kolegów nie nazwał przecież Dehnela: „fajfusem francowatej narożnicy” albo „fłokiem kołtunowatego baraśnika”.

Wychodząc naprzeciw mrocznym wizjom Polski przedstawianym przez środowiska LGBT, postanowiłem

FOT. FABRYKA SŁÓW



dla zabawy pokazać, jak naprawdę wyglądałby kraj z ich mrocznych myśli. Napisać opowiadanie prowokację; bo skoro chcą widzieć w większości Polaków ciemny zacofany tłum, nienawidzący obcych, no to dostaną dawną Lendię, krainę mroczną, średniowieczną, pełną okrutnych, ciemnych Lędziców, gnębiących myślących inaczej. Opowiadanie było pastiszem, nie spodziewałem się bowiem, że lewicowo-liberalny mainstream potraktuje dosłownie tekst, gdzie woje i rycerze na koniach ścigają z pochodniami ostatniego światłego geja, wsparci przez bractwa buhurtowe, takie jak Pogończycy z Nowej Gnieźdźnicy czy Czerwono-Czarni z Woldanów, a także przez „ciemnych, wąsatych Jakuszków i Grzysławów z zaścianków”.

Opowiadanie „Dalian, będziesz ćwiartowany” zostało od razu przyjęte do „Nowej Fantastyki”, która wówczas była jeszcze miesięcznikiem otwartym, prezentującym różne wizje literackie. Nieprawdą jest, że termin publikacji został wybrany specjalnie na okres kampanii wyborczej, gdyż był ustalony jeszcze w marcu i tylko przesunięcie wyborów sprawiło, że tekst ukazał się w gorącym okresie.

Publikacja wywołała burzę w sieci, na którą byłem przygotowany. Zupełnie nie zaskoczyły mnie ataki pary Dehnel-Tarczyński, która poczuła się osobiście dotknięta opowiadaniem. Tarczyński w obszernym streszczeniu nazwał je „turbo lechickim, homofobicznym rzygiem”. Dehnel poszedł jeszcze dalej.

„»Nowa Fantastyka« opublikowała współczesną wersję opowiadanka ze »Stuermersa« albo »Volkischer Beobachter« – grzmiał z dalekiego Berlina – tyle że zamiast dzielnych teutońskich wojów, którzy szlachtują żydowskich siepaczy i uwalniają [...] niewinne córki Germanii [...], są dzielni lechiccy wojowie, którzy szlachtują zniewieściących gejojskich siepaczy i uwalniają dzieci Lechii, przeznaczone dla pedofilów z zepsutego imperium”. W wypowiedziach obu panów pojawiał się oczywiście typowy dla ich środowiska brak symetrii. Oni mogą bezkarnie obrażać wszystkich dookoła, ale jeśli ktoś dobierze się do nich, to natychmiast zostaje prawicowym ekstremistą wykluczonym z życia społecznego.

Podobne awantury to codzienność, gdyby nie to, że „Nowa Fantastyka” niespodziewanie ugięła się pod presją, publikując oświadczenie, w którym przeprosiła za wspomniane opowiadanie! Nie moją intencją jest oceniać ten krok, gdyż obaj redaktorzy – Jerzy Rzymowski i Michał Cetnarowski – nie chcieli komentować powodów decyzji. Z prywatnych źródeł wiem, że po prostu ulegli ogromnej presji Internetu, być może nacisk wywierał wydawca, gdyż „Nowa Fantastyka” jest pismem nisko nakładowym. Dość, że złożyli samokrytykę jak za Gomułki; w oświadczeniu redakcja



Okladka wydania „Nowej Fantastyki” (7/2020), w którym opublikowano opowiadanie „Dalian, będziesz ćwiartowany”

potępiła dyskryminację, zapowiedziała wprowadzenie... cenzury, pisząc: „Odbiór opowiadania wśród czytelników, a szczególnie dyskusja wokół tego tematu na grupie Polska Fantastyka, wiele nas nauczyła i pomogła wyciągnąć wnioski na przyszłość, aby udało nam się uniknąć podobnych zdarzeń i podchodząc do trudnych tematów

z większą wrażliwością [...]. Naszym celem nie jest proszenie Was, byście zapomnieli nam błąd, jakim była publikacja opowiadania Jacka Komudy [...]. My nie zapomnimy – musimy o nim pamiętać, by móc wyciągać wnioski i podobnych błędów nie powielać”.

Dopiero teraz burza wybuchła na prawdę. Gdy „Nowa Fantastyka”, założona w 1982 r., była swoistym oknem na świat, umożliwiającym publikację wielu autorom walczących z komunizmem, jej legendarny redaktor, śp. Maciej Parowski, znany był z tego, że publikował teksty zarówno swoich autorów, jak i przeciwników, nie ulegając żadnym naciskom. Jego spuścizna została zatem brutalnie podeptana. Na redaktorów spadła lawina wściekłości nie tylko prawicowych trolli, lecz także zwykłych miłośników fantastyki, oburzonych, że lewicowa cenzura wkracza do ulubionego czasopisma. Samokrytyka jak w czasach stalinowskich – pisali. „Żenująca i żałosna cenzura”. „Słowa palą, więc pali

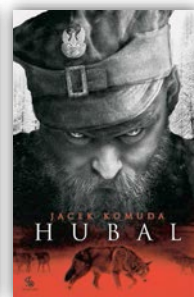
Pisarz, historyk, autor „Hubala” i cyklu „Samozwaniec”

Jacek Komuda to zawodowy pisarz historyczny i jednocześnie historyk z wykształcenia, zafascynowany najtragiczniejszymi zakrętami dziejów Polski i dawnej Rzeczypospolitej szlacheckiej. Autor 14 powieści historycznych, z których najsłynniejsze to cykl „Samozwaniec”, opowiadający o polskiej wyprawie na Moskwę na początku XVII w. Napisał też powieść „Hubal”, opowiadającą o losach legendarnego zagończyka i dowódcy kawalerii, mjr. Henryka Dobrzańskiego, który we wrześniu 1939 r. nie złożył broni po przegranej wojnie.

Kolejno w cyklu ukazało się „Westerplatte”, poświęcone

bohaterskiej obronie Wojskowej Składnicy tranzytowej w Gdańsku w pierwszych dniach drugiej wojny światowej. W przygotowaniu jest kolejna książka o wrześniu – „Wizna”, która niebawem ukaże się nakładem wydawnictwa Fabryka Słów. Opowiada o walce, którą stoczyli nieliczni i osamotnieni żołnierze kpt. Władysława Raginisa z przeważającymi siłami niemieckiego korpusu pancernego gen. Heinza Guderiana w obronie umocnionych pozycji nad Biebrzą i Narwią.

Jacek Komuda nie stroni od brutalnych, mocnych kart naszych dziejów, woli pisać ku przestrodze niż ku pokrzepieniu serc. Wskresza



dawne obyczaje, postacie, zapomniane miejsca. Jego bohaterowie to ludzie niepoprawni politycznie, miotani namiętnościami. Autor uczestniczy w prawdziwych rekonstrukcjach historycznych jako XVII-wieczny polski husarz, pancerny i lisowczyk. Na

się słowa” – oto najciekawsze z masy krytycznych wypowiedzi fanów. Każdy z nich podpisywał się imieniem i nazwiskiem, nie są to więc teksty ogłupiających trolli.

Wszystkie związane z tą aferą wydarzenia pozwalają zaś odtworzyć krok po kroku mechanizmy, którymi posługuje się środowisko LGBT, aby – nie bójmy się tego słowa – terroryzować przeciwników.

PIERWSZY ATAK

Schemat ataku społecznościowego przeciwko „Nowej Fantastyce” przebiegał w następujący sposób – najpierw odezwali się wszyscy ci identyfikujący się z lewicą, którzy sami parają się pisaniem. Każdy pisarz ma dziesiątki, jeśli nie setki podobnych wrogów. To ci, którzy nie odnieśli sukcesu, tacy, którzy piszą, ale się nie sprzedają. Często są to twórcy obasypani nagrodami, które jednak mają znaczenie symboliczne, bo nie dają przełożenia na powodzenie i popularność u czytelników. Muszę tutaj wyjaśnić, że świat literatury jest dziś światem manipulacji, spotkamy w nim zarówno pisarzy osiągających ogromne nakłady, czytanych i utrzymujących się z pisania, jak i twórców wielokrotnie nagradzanych, ale popularnych w wąskim środowisku. Ci pierwsi oficjalnie nie istnieją, a ci drudzy wynoszeni są pod niebiosa. Co więcej – im bardziej niezależny jest pisarz, tym bardziej może być nieobecny w lewicowych mediach: „Polityce”, „Gazecie Wyborczej”, „Newsweeku” i innych.

Nie muszę chyba dodawać, że twórcy, którzy dostają nagrody, ale nie odnieśli sukcesu u czytelników, zawsze szukają okazji do wbicia szpili konkurentowi, gdy ktoś krytykuje go w sieci.

Kolejną grupę stanowią lewicowe trolle, ludzie bez nazwisk, o profilach niemówiących nic, posługujący się pseudonimami. Czynią oni zadymę dla samej zadymy albo są po prostu opłacani.

I wreszcie oprócz nich mamy ogromne środowisko internetowej lewicy LGBT. W przeciwieństwie do trolli zwykle są to ludzie występujący pod własnymi nazwiskami. Ciekawe, że często ich strony wyglądają, jakby była to specyficzna kategoria ludzi, mających jakieś problemy, jakby nie mogli się odnaleźć w zwykłym świecie, nie wiedzieli, co ze sobą zrobić i oczywiście nie byli pewni orientacji seksualnej. Charakterystyczną cechą są brzydkie, odręcznie narysowane awatary – rysunki, nieudolne skopiowane z mangi albo komiksów lub po prostu wstawione wprost do sieci.

Imię tych sympatyków LGBT – legion, zakładam, że są wśród nich wszyscy zawiedzeni, nieudacznicy, ludzie, którzy po prostu zwyczajnie błędzą albo toną w niepewności. Lewicowy mainstream jest dla tych – nie bójmy się tego słowa – opuszczonych jak słodka obietnica, bo obiecuje im zrozumienie, wyniesienie, uznanie w zamian za poparcie idei. Pisarz grafoman – przepraszam, że trzymam się literatury, ale jest ona mi najbliższa – zostanie okrzyknięty geniuszem, jeśli napisze dziełko plujące na

kościół albo chwalcące tęcza ideologię. To nic, że wydawca je odrzuci. Ważne, że zaakceptuje je i będzie chwalić 30 wyznawców tęczy na Facebooku. W dodatku takich jak on jednoczy poczucie walki o wielką, wspólną sprawę. W masie czują się siłą. Są jak chaos – wreszcie wolni, a w grupie podobnych wyznawców mogą wyrazić gniew na wszystko i wszystkich: rodzinę, kolegów, państwo, Kościół, cokolwiek. Zachowania tych społeczności są też sekciarskie czy może raczej plemienne – mają wspólnego wroga, zwykle określanego jako prawicowcy, faszysty, ekstremiści, antysemita. A kiedy zacznie się nagonka, wśród wyznawców wybuchają histeria, bo ktoś ośmielił się złamać przyjęte tabu, którym przede wszystkim są rzekome prawa mniejszości seksualnych.

Kolejna kategoria zwolenników LGBT to ludzie sensowni, identyfikujący się powierzchownie z ideologią, którzy nie stali się jeszcze fanatykami. Wbrew temu, co można pomyśleć, jest ich całkiem sporo. Z nimi można prowadzić sensowne dyskusje, zwykle szanują też poglądy przeciwników, jest to bez wątpienia spokojna, aczkolwiek mniej liczna grupa zwolenników lewicowego mainstreamu.

DONOS MUSI BYĆ

Po złamaniu lewicowego tabu i ataku społecznościowym na daną osobę, instytucję lub podmiot gospodarczy, zawsze bardzo szybko pojawia się próba wyniesienia konfliktu na forum międzynarodowe. Czyli mówiąc krótko – donos ■



Potędze – własnej ukochanej klaczy – przejechał pół Polski, kawałek Ukrainy i jeszcze większy Bieszczadów, razem z Pogórzem Przemyskim.

Nakładem Fabryki Słów ukazały się także takie powieści jak „Banita” – mroczna i zaskakująca historia o miłości



szlachcica rębającego Jacka Dydyńskiego i pięknej kurtyzany, a także „Wilcze gniazdo”, „Bohun” poświęcony największej klęsce Rzeczypospolitej w wojnach z Kozakami, „Czarna szablą” i „Diabeł

Łańcucki” rozgrywające się na południowo-wschodnich kresach Rzeczypospolitej. Z kolei „Galeony wojny” to przedstawicielka literatury marynistycznej ukazująca walki polskiej floty za czasów Zygmunta III Wazy. Starszymi pozycjami autora są: „Villon: Imię Bestii”

(2005) i „Villon: Herezjarcha” (2008); zbiory opowiadań o Franciszku Villonie, francuskim poecie wyklętym żyjącym w XV w.

Z opowiadaniem „Dalian, będziesz ciwartowany”, które wywołało ostatnio prawdziwą burzę i furję środowisk LGBT, związane są cykl zbiorów opowiadań „Jaksa” oraz powieść fantasy „Jaksa: Bies idzie za mną”, oparte na szeroko rozumianej kulturze Słowian.

Autor jest stałym współpracownikiem naszego tygodnika, gdzie publikuje felietony z cyklu „Rycerze i warchoły”, poświęcone sławnym polskim i zagranicznym awanturnikom, a wcześniej o tematyce kulinarnej z serii „Podróże kuchmistrza koronnego”.

do obcych. W przypadku mojego opowiadania dokonała go osoba anonimowa, podpisująca się na Twitterze jako: „thesnout”, informująca na co dzień o przypadkach homofobii w Polsce, przedstawiająca się jako „projektant, ilustrator, artystka i organizatorka larpów”. Podała, iż „najdłużej wychodzące czasopismo »Nowa Fantastyka« opublikowała wyjątkowo homofobiczne, szkodliwe opowiadanie znanego nacjonalistycznego pisarza [czyli mnie – przyp. J.K.]. Polski fandom jest w ogniu”. Drugą donosicielką stała się początkująca pisarka – Karolina Fedyk – autorka jednej książki, która skwapliwie wysłała informację o moim występkę do różnych intelektualistów. Między innymi do niejakiego Jeffa VanderMeera, który zareagował oświadczeniem, że zabrania publikowania w przyszłości swoich tekstów w „Nowej Fantastyce”. W ten sposób dowiedziałem się po raz pierwszy o istnieniu owego jegomości. Zapewne nieznanomość tego miłośnika kotów i żółwi, eliminuje mnie z publicznej dysputy, ale wybaczenie, jestem ciemnogrodzianinem z Lendii Starszej. Fedyk także wycofała swoje teksty z „Nowej Fantastyki”, szybko wysłała informację do kolejnych intelektualistek, czyli do Naomi Kritzer i Kelly Robson. Obie w naszym kraju nie są wydawane, nikt ich nie zna, wyraziły jednak najwyższe zaniepokojenie sytuacją w Polsce. To wszystko dało na Facebooku asumpt do stwierdzenia, że intelektualiści z cywilizowanego Zachodu potępiają „Nową Fantastykę”. W rzeczywistości to pisarze, o których nikt prawie nie słyszał!

Co łączy donosy „thesnout” i Fedyk? To, o czym wspominałem wcześniej – dziwaczne i brzydkie, nieudolnie narysowane awatary i ilustracje, które być może powiedziałyby coś więcej psychologowi o stanie umysłów obu pań. Tak czy owak ich donosy nie były szkodliwe. Jednocześnie ze współpracy z „Fantastyką” wycofało się kilku krajowych autorów – powiązanych zarówno z prawicą, jak i lewicą – w proteście przeciwko opowiadaniu lub cenzurze w piśmie.

KACIE, PAL SZEŚĆ!

Wszystkie powyższe manipulacje służyć miały tylko jednemu – napiętnowaniu i wykluczeniu autora oraz popierających go ludzi i instytucji. Stygmatyzacji jako: homofoba, faszysty, antysemity po to, aby nikt nie chciał z nim rozmawiać, a przede wszystkim nie wydawał jego prac, unikał jak zadżumionego. Aby

Już za chwilę ataki LGBT realizować będą w Polsce dwa cele. Jeden to zastraszanie opornych podmiotów kulturowych. Drugi – terror finansowy

zamknięte były przed nim wydawnictwa, telewizja, prasa, serwisy itd. Tylko że lewicowe aktywistki zapomniały, iż naszym własnym odpowiednikiem wykluczonego nie jest przerażona ładacznicą oznaczona szkarłatną literą, ale banita lub infamis, który wyzwolony jak Zborowski nie boi się żadnej krytyki, tęczowego boga ani diabła. Dlatego w Polsce mechanizm ten działa w odwrotny sposób – budzi zainteresowanie, dość wspomnieć ostatnią książkę Rafała Ziemkiewicza „Cham niezbytowany”, która po stygmatyzacji autora jako antysemity sprzedała się w rekordowym nakładzie. W moim przypadku działania te trafiły w próżnię, od zawsze bowiem, ze względu na tematykę moich książek, byłem wykluczony z mediów salonowych. Nie mam recenzji w „Polityce” ani „Newsweeku”, nie zaprasza mnie do rozmów Katarzyna Janowska, nie mam wywiadów w „Gazecie Wyborczej”, nie otrzymuję nagród ani stypendiów. Jak zatem wykluczyć wykluczonego? Dlatego właśnie lewicowy mainstream sięga po inne sposoby manipulacji.

„NOWA FANTASTYKA” NA KOLANACH

Po awanturze wokół mojego opowiadania spodziewałem się szturmów trolli na mój profil na Facebooku, kubłów wylewanych pomyj i tym podobnych ekscesów. Tymczasem nic takiego nie nastąpiło. Głównym celem ataku społecznościowego nie byłem, o dziwo, ja bezpośrednio, ale miesięcznik „Nowa Fantastyka”. Zapewne dlatego, że autorowi mającemu trwać na rynku niewiele taki atak by zrobił, a może nawet rozreklamowałby go i uczynił z niego męczennika. Natomiast wydawca, stacja TV lub radiowa, portal lub serwis są lepszym celem. Firma w przeciwieństwie do autora łatwo przestraszy się procesu, zablokowania serwerów, a wydawca – uderzenia w reklamodawców

i dystrybutorów oraz sieci księgarskie. Prościej zmusić do samokrytyki podmiot gospodarczy, stowarzyszenie, fundację niż pojedynczego człowieka.

W przypadku „Nowej Fantastyki” zrealizowano ten cel w zupełności – prowadzonymi atakami i pedagogiką wstydu zmuszono redakcję do uległości. Oto w kolejnym oświadczeniu, przepraszając za moje opowiadanie, zapowiedziała wydanie „tęczowego” numeru. „Zapropomowaliśmy twórcom ze środowisk queerowych wspólnie przygotowanie numeru naszego miesięcznika, w którym znajdą się teksty literackie i publicystyczne pisane przez autorów LGBT+ lub poświęcone tej tematyce. [...] Na łamach »Nowej Fantastyki« już i tak regularnie ukazują się takie teksty, jednak najwyraźniej nadszedł moment, żeby zaakcentować to jeszcze mocniej i przeciwstawić się falom hejtu i ignorancji. [...] Tęcza jest symbolem przymierza i nadziei” – napisała w oświadczeniu.

Wyraźnie zatem widać, że już za chwilę społecznościowe burze i ataki LGBT realizować będą w Polsce dwa konkretne cele. Pierwszy to zastraszanie opornych podmiotów kulturowych, a więc czasopism, serwisów, prasy, w przyszłości może nawet telewizji, w celu wymuszenia swoistego tęczowego auto da fé i rzucenia wroga na kolana. W rzeczywistości oznacza to całkowite podporządkowanie opornego podmiotu interesom agresywnej ideologii.

Drugi cel jest równie groźny – terror finansowy. Jedną z uczestniczek dyskusji napisała: „Jak zamierzacie naprawić popełnione szkody? Podstawą wydaje się przekazanie zysku z lipcowego numeru na »Miłość nie wyklucza« czy »Kampania Przeciw Homofobii«, ew. ufundowanie szkoleń antydyskryminacyjnych. Zrobicie to?”.

Wkrótce zatem należy się spodziewać po prostu wymuszania haraczy. Wszystko w schemacie – najpierw znajduje się kontrowersyjny tekst, wypowiedź albo autora, potem przypuszcza społecznościowy szturm na jego osobę, wydawnictwo lub inny podmiot informacyjny i następnie wyprowadza te informacje do zagranicznych mediów. A potem żąda ukorzenia się, samokrytyki i wypłaty rzekomego odszkodowania na rzecz lewicowych organizacji związanych z LGBT w zamian za zaniechanie ataków. Tak właśnie działać będzie nowoczesny terror sieciowy XXI w.



FOT. MATYSZ WODARCZYŃSKI/FOPIUM

Obrona kłamstw TVN i agencji WSI, finansowanie prześladowców ks. Blachnickiego i kłamstwa smoleńskiego, wspieranie interesów rosyjskich i niemieckich, propaganda LGBT i pedofilii, demoralizacja dzieci i niszczenie rodziny, walka z Kościołem i naszą tradycją narodową, likwidacja WOT, IPN, CBA, polskiego sądownictwa i telewizji publicznej, a w rezultacie niepodległości to program, który chce się narzucić Narodowi Polskiemu. Dla mnie to zdrada. Tym się różnimy” – te słowa Antoni Macierewicz zaadresował do zwolenników Platformy Obywatelskiej tuż przed drugą turą wyborów prezydenckich. Mocny komentarz doczekał się równie ostrej riposty: „W mojej ocenie tego typu dzielące i nienawistne wypowiedzi są okropne i godne pożałowania. Każdy przyzwoity człowiek powinien odrzucić tego rodzaju retorykę!”. Nie byłoby nic dziwnego, gdyby w takim stylu Macierewiczowi odpowiedział polski polityk z przeciwnej, a nawet z tej samej strony

mniał, że artykuł 41 konwencji wiedeńskiej mówi, aby nie mieszać się do spraw wewnętrznych państwa przyjmującego.

Na słowa Mosbacher zareagował też Macierewicz: „Szanowna Pani Ambasador, w polemice z PO, którą Pani zaatakowała, napisałem prawdę i tylko prawdę. Odnoszę wrażenie, że nie są Pani znane okoliczności śmierci ks. Blachnickiego i Jego inwigilacji przez SB; nie zna Pani roli agencji komunistycznej w powstaniu TVN; nie zapoznała się Pani z kartą LGBT Plus promującą seksualizację dzieci. Uważam, że na te zjawiska powinien zareagować każdy przyzwoity człowiek. Tak postępowałem od 50 lat, walcząc o niepodległość Polski [...]. I nic tego nie zmienia”.

Symptomatyczna była odpowiedź ambasador. „Złożenie przysięgi jako ambasador nie oznacza, że odrzuciłam etykę, wartości i umiejętność odróżniania dobra od zła. Jeśli widzę, że historia jest zniekształcana lub interpretowana ze złych pobudek, to zabieram głos niezależnie od mojego stanowiska” – napisała. Nie odniosła się zatem do

na moje pytanie, czy publiczna krytyka pod adresem polskich polityków nie jest „mieszaniami się do wewnętrznych spraw Polski”, a więc złamaniem norm zachowania dyplomaty wobec państwa przyjmującego.

GŁOS W WEWNĘTRZNYCH SPRAWACH

To nie pierwszy raz, kiedy jednoznacznie i publicznie zabrała głos w wewnętrznych sprawach Polski. „Trzaskowski boi się debaty z Polakami. Woli ustawić debatę w WSI 24 i niemieckim Onecie” – tak Beata Mazurek, europosłanka PiS, krytykowała kandydata PO na prezydenta za odmowę przyjazdu do Końskich. „Dobrze Pani wie, że szerzy Pani coś, co jest absolutnym kłamstwem, sugerując, że TVN to WSI. Powinna się Pani wstydzić. To jest poniżej godności osoby, która reprezentuje Polaków” – zbesztala Mazurek ambasador USA. W odpowiedzi Beata Mazurek powołała się na raport z likwidacji WSI. Przypomniała też, że Macierewicz, podany do sądu za słowa o agenturalnej

Nadambasador



Maciej Pieczyński

Publicznie karci polskich polityków. Ingerencję w wewnętrzne sprawy państwa przyjmującego tłumaczy troską o wolność słowa. Czy Georgette Mosbacher przekroczyła już granice?

barykady, krytyczny wobec powszechnie znanej wyrazistości poglądów marszałka seniora. Jednak ta niezbyt dyplomatyczna ocena wyszła spod klawiatury ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce Georgette Mosbacher. Szef misji dyplomatycznej obcego państwa skarcił polityka partii rządzącej krajem przyjmującym.

„To jest niebywałe, aby ambasador podejmował publiczną polemikę polityczną z politykami kraju, w którym sprawuje funkcję dyplomatyczną” – napisał na Twitterze były minister spraw zagranicznych Witold Waszczykowski. Przypo-

zarzutu Waszczykowskiego o naruszenie zapisów konwencji wiedeńskiej. Można wręcz odnieść wrażenie, że ponad literą prawa międzynarodowego świadomie postawiła swoje osobiste oceny moralne.

Pani ambasador pośrednio potwierdza, że właśnie taką hierarchię wartości zastosowała. – Nigdy nie ma właściwego czasu ani miejsca na nienawistną retorykę. Kiedy widzę niesprawiedliwość – nazywam ją po imieniu. Kieruję się moimi zasadami etycznymi, wartościami i zdolnością do odróżniania dobra od zła – jako ambasador i jako człowiek – tak Georgette Mosbacher odpowiedziała

genezie ITI, ostatecznie sprawę wygrał. Ambasador Mosbacher nie kontynuowała dyskusji. Opublikowała jednak pojednawczy wpis, w którym podkreśliła, że „wymiana zdań w dyskusji na Twitterze” w żaden sposób nie wpływa na jakość polsko-amerykańskich relacji. „Jeszcze nigdy nie były one tak bliskie, co widać było ostatnio w Waszyngtonie!” – dodała, odnosząc się do wizyty Andrzeja Dudy w Białym Domu tuż przed pierwszą turą wyborów prezydenckich.

Z kolei w listopadzie 2018 r. Georgette Mosbacher wystosowała do premiera Morawieckiego list, w którym wskaza-

ła, co należy, a czego nie wolno mówić ministrom polskiego rządu na temat stacji TVN. O tej sprawie jako pierwszy informował portal Dorzeczy.pl. Odnosząc się do kontrowersyjnego dokumentu, Mosbacher stwierdziła: „Wśród podstawowych wartości niesamowicie ważnych dla USA i dla mnie jest wolność słowa, wolność mediów i wolność intelektualnego dyskursu”. Przekaz złagodziła stwierdzeniem, że relacje polsko-amerykańskie są „bardzo dobre”, a pogłębianie przyjaźni Warszawy i Waszyngtonu jest dla niej kwestią priorytetową.

Powtarzającym się wątkiem w publicznych sporach pani ambasador z politykami PiS jest kwestia oceny TVN. Stacja nie bez powodu uważana jest za medialne ramię antypisowskiej opozycji. Dlatego trudno się dziwić, że TVN w pewnym momencie znalazła się na celowniku TVP. Materiały telewizji prywatnej, krytyczne wobec działań rządu, stały się obiektem krytyki ze strony telewizji publicznej. Pod koniec kwietnia „Wiadomości” wiele miejsca poświęcały „Faktom”. Mosbacher stanęła w obronie prywatnej stacji, zapewniając, że jej priorytetem jest „przejrzystość, wolność słowa oraz niezależne i odpowiedzialne dziennikarstwo”. „Sugestie, że jest inaczej, są fałszywe” – podkreśliła. W tym samym wpisie Mosbacher przypominała, że „TVN jest częścią rodziny Discovery, amerykańskiej firmy”, notowanej na nowojorskiej giełdzie. Dlatego trudno się dziwić, że ambasador USA występuje w obronie rodzimego kapitału.

PRAWO I DOBRE MANIERY

– Prawo dyplomatyczne wyraźnie mówi, że dyplomaci kraju wysyłającego nie powinni się mieszać w sprawy wewnętrzne kraju przyjmującego. Nawet więcej: nie mają również prawa wykorzystywać budynków ambasad i konsulatów do celów niezgodnych z oficjalnymi celami dyplomatycznymi, nie mogą też prowadzić działalności handlowej. Immunitet oznacza nie tylko szczególne przywileje, lecz także niesie za sobą szczególne obowiązki. Dotyczy to zwłaszcza ambasadora, który, jako szef misji dyplomatycznej, powinien dawać dobry przykład niżej postawionym przedstawicielom swojego państwa w kraju przyjmującym – komentuje w rozmowie z „Do Rzeczy” Artur Wróblewski, amerykańista, politolog z Uczelni Łazarskiego. W jego

Powtarzającym się wątkiem w publicznych sporach ambasador USA z politykami PiS jest kwestia oceny telewizji TVN

ocenie ambasador Mosbacher naruszyła przepisy konwencji wiedeńskiej. Sankcją, która mogłaby ją za to spotkać, jest uznanie jej za osobę niepożądaną. Tego domagają się politycy Konfederacji.

– Pani ambasador łamie nie tyle zapisy tego czy innego aktu prawnego, ile konwencję dobrego zachowania się – uważa z kolei prof. Bohdan Szklarski, politolog, amerykańista z Uniwersytetu Warszawskiego. – Takie sytuacje zdarzają się w relacjach asymetrycznych, takich jak stosunki polsko-amerykańskie. Georgette Mosbacher może sobie pozwolić na więcej, ponieważ jest przedstawicielem państwa, uznanego w kraju przyjmującym za najbliższego sojusznika, strategicznego partnera, wręcz gwaranta bezpieczeństwa. Ryzyko jest niewielkie, ponieważ wiadomo, że cokolwiek by pani ambasador powiedziała, polityka Polski wobec Stanów Zjednoczonych się nie zmieni – dodaje.

– My w Polsce jesteśmy niezmiernie wyczuleni na próby pouczenia ze strony „wielkiego brata”. Z drugiej strony, lubimy wyolbrzymiać swoje znaczenie dla Ameryki. To zresztą cecha typowa dla państw, które wchodzą w relację asymetryczną z większym partnerem. Amerykanie są na tyle dyplomatyczni, że nie wyprowadzają z błędu swoich sojuszników, gdy ci zawyżają swoją samoocenę i swoje zasługi dla Waszyngtonu. Nie chcą robić przykrości. Kiedy jednak sojusznik przekroczy pewną granicę, dostaje publicznie „po łapkach”. Tak było w przypadku nowelizacji ustawy o IPN, tak było po atakach na TVN – komentuje prof. Szklarski. W jego opinii Amerykanie w obu przypadkach stanęli w obronie wolności słowa i mediów.

Artur Wróblewski porównuje zachowanie Georgette Mosbacher do praktyk, które w przeszłości Waszyngton stosował wobec krajów Ameryki Łacińskiej. – Była to tzw. dyplomacja dolarowa. Na początku XX w. Amerykanie finansowo zdominowali państwa latynoamerykańskie. W efekcie do krajów tych przyłgnęło pogardliwe miano „bananowych repu-

blik” – mówi amerykańista. – Do historii przeszły słowa Roosevelta, który o jednym z zależnych od Ameryki przywódców południowoamerykańskich powiedział: „Somoza może jest sukinkotem, ale to nasz sukinkot”. Ta wypowiedź stała się symbolicznym wyrazem protekcyjnego stosunku Waszyngtonu do podległych mu krajów. Niestety, właśnie te tradycje przypominają niektóre komentarze pani ambasador Mosbacher – dodaje.

KOLEŻANKA TRUMPA

Amerykańscy zgodnie przyznają, że na zachowanie pani ambasador może mieć wpływ specyficzna droga jej kariery. – Nie jest to „career diplomat”, jak Amerykanie nazywają zawodowych dyplomatów. Ambasadorem została jako koleżanka Donalda Trumpa. Dlatego też jedną z przyczyn takiego, a nie innego zachowania może być brak dyplomatycznego doświadczenia i wycucia – mówi Wróblewski. Jednocześnie, zdaniem ekspertów, arogancja USA może mieć charakter, paradoksalnie, życzliwy – nie prowadzi bowiem do poniżenia kraju przyjmującego, lecz do wyznaczenia granicy, której przekroczyć, zdaniem potężnego sojusznika, nie wolno.

Jak podkreślają eksperci, wysyłanie na placówki osób bez wykształcenia i doświadczenia dyplomatycznego to amerykańska specyfika. Często stanowiła ona otrzymanie się za polityczne zasługi, np. w kampanii wyborczej. Victor Ashe, ambasador USA w Warszawie w latach 2004–2009, wcześniej był burmistrzem miasta Knoxville. Mosbacher z kolei ma za sobą bogatą karierę biznesową. Po studiach założyła przedsiębiorstwo kosmetyczne. Po jego upadku podjęła pracę w firmie Fabergé. Wyszła za mąż za właściciela przedsiębiorstwa. Następnie kupiła podupadły koncern kosmetyczny, z sukcesem przeprowadziła jego restrukturyzację, a później sprzedała niemieckiej firmie. W latach 90. założyła przedsiębiorstwo Georgette Mosbacher Enterprises, zajmujące się doradztwem marketingowym. Nie rozstawała się też z branżą kosmetyczną. Równoległe z biznesem prowadziła działalność polityczną. Od lat 60. jest związana z republikanami. Odpowiadała za finansowanie partii. Była pierwszą kobietą przewodniczącą stowarzyszeniu republikańskich gubernatorów. W 2016 r. Barack Obama powołał ją do Komisji Doradców ds. Dyplomacji. Dwa lata później, już za

kadencji Trumpa, została ambasadorem w Warszawie. Silna i niezależna kobieta.

– Georgette Mosbacher ma do polityki zagranicznej podobne podejście jak Donald Trump. Czyli postrzega świat jak wielki rynek, a swój kraj – jak wielkie przedsiębiorstwo, nastawione na konkretne zyski – mówi prof. Szklarski.

– Zgodnie z etykietą pani ambasador powinna działać zakulisowo raczej, niż podejmować publiczną polemikę. Nie wiadomo jednak, jaka była geneza tego sporu. Być może były już wcześniej wysyłane sygnały po cichu, na niższych szczeblach, a dopiero wtedy, gdy to nie poskutkowało, pani ambasador weszła w otwartą dyskusję. Tego nie wiemy – zastanawia się prof. Szklarski.

POUCZANI PRZEZ USA

Polska nie jest jedynym krajem tak potraktowanym przez amerykańskiego dyplomata. Dobrym przykładem jest tu sprawa Richarda Grenella. Na początku maja 2018 r. objął on stanowisko ambasadora USA w Niemczech. Zaczął niezbyt dyplomatycznie. Stwierdził publicznie, że niemieckie firmy powinny natychmiast przestać współpracować z Iranem, w imię dobrych relacji ze Stanami Zjednoczonymi. Wypowiedź wywołała niemałe kontrowersje. Następnie Grenell udzielił kontrowersyjnego (z punktu widzenia Berlina) wywiadu dla prawniczego portalu Breitbeit. Stwierdził w nim, że chce wspierać konserwatystów w całej Europie. Zapowiedział również, że zaprosi na lunch w ambasadzie kanclerza Austrii Sebastiana Kurza, który – delikatnie rzecz ujmując – nie jest ulubieńcem niemieckich elit lewicowo-liberalnych. „To, co wyczynia ten człowiek, jest niespotykane w międzynarodowej dyplomacji” – oburzał się wówczas Martin Schulz, sam znany z ingerowania w wewnętrzne sprawy państw UE. „Kiedy patrzę na działania amerykańskiego ambasadora w Niemczech, mam wrażenie, że on bardziej czuje się jak oficer okupacyjny niż ambasador USA w suwerennym kraju” – komentował z kolei Gerhard Schröder.

Przypadki pouczenia kraju przyjmującego przez amerykańskich dyptomatów zdarzały się również za kadencji Baracka Obamy. Wtedy to np. ambasador USA krytykował rząd Indii za działania wymierzone w działalność organizacji charytatywnych. W Bangladeszu swego czasu Amerykanie krytykowali rząd za

stłumienie studenckich protestów. W Rumunii ambasador USA wyraził „niepokój” z powodu – jego zdaniem – kontrowersyjnych poprawek w prawie karnym. W Mołdawii przedstawiciel najpotężniejszego państwa na świecie stanął, paradoksalnie, w obronie wolności słowa rosyjskich mediów, którym zakazano działalności na terenie kraju. Dostało się również Węgrom – trzy lata temu chargé d'affaires amerykańskiej placówki w Budapeszcie wygłosił wykład na temat wolności mediów jako zasady koniecznej do funkcjonowania demokratycznego państwa prawa.

Niemal za każdym razem interwencja amerykańskich dyptomatów podyktowana była obroną jakichś konkretnych wartości. W końcu ambasador Mosbacher tłumaczyła swój protekcyjny ton wobec Macierewicza kwestią „etyki”. – Dyplomata powinien kierować się zarówno przepisami prawa, jak i etyką. Pani ambasador ma wręcz obowiązek działać zgodnie z własnymi zasadami, a przy tym bronić interesów swojego kraju – przyznaje Witold Waszczykowski w rozmowie z „Do Rzeczy”. Dodaje jednak: – To nie zwalnia z przestrzegania prawa międzynarodowego, które jasno określa, w jaki sposób dyplomata może egzekwować interes swojego kraju. Od tego jest protokół dyplomatyczny.

Politycy Konfederacji domagają się uznania ambasador Georgette Mosbacher za osobę niepożądaną

Ambasador może poprosić o rozmowę praktycznie z każdym politykiem w kraju przyjmującym. USA to nasz strategiczny sojusznik i drugi największy inwestor. Jestem więc przekonany, że gdyby w sprawach dla siebie istotnych pani ambasador poprosiła o spotkanie z premierem czy prezydentem, nie byłoby żadnego problemu. Wszystko da się jakoś umówić. Niestety, pani ambasador Mosbacher wybrała drogę dyplomacji „megafonowej”.

Dlaczego? – Pani ambasador wywodzi się z biznesu, więc trochę brakuje jej doświadczenia i profesjonalizmu. Po drugie, reprezentuje mocarstwo światowe,

więc być może uważa, że więcej jej wolno. Szczególnie że jest bliską znajomą prezydenta USA – tłumaczy Waszczykowski. Artur Wróblewski zaznacza, że szczególnie relacje Mosbacher z Trumpem mają swoje bardzo dobre dla Polski strony. – Ambasador z politycznego nadania ma łatwiejszy dostęp do ucha prezydenta, łatwiej i szybciej można z nim coś ustalić i załatwić niż w przypadku zawodowych, ale słabiej umocowanych politycznie dyptomatów – zauważa.

Witold Waszczykowski przyznaje: – Trzeba uczciwie powiedzieć, że pani ambasador bardzo nam pomogła. Jej bliskie relacje z Trumpem na pewno wpłynęły na to, że prezydent Duda stosunkowo często spotykał się ze swoim amerykańskim odpowiednikiem. Być może, gdyby nie Georgette Mosbacher, nie udałaby się niedawna, zorganizowana w ostatniej chwili, wizyta w Białym Domu. Włączyła się również w akcje na rzecz zniesienia wiz. Oczywiście zdecydowało zmniejszenie liczby odmów, ale być może nie byłoby tego, gdyby nie presja, którą pani Mosbacher mogła wywierać na konsulów, decydujących o przyznaniu wiz.

Były szef MSZ uważa, że „dyplomacja megafonowa” Mosbacher to jej osobista inicjatywa i nie wynika z jakiegokolwiek inspiracji ze strony Białego Domu: – To silna, niezależna kobieta, mająca szerokie kontakty w amerykańskiej administracji i biznesie. Trudno jej utrzymać się w sztywnych ramach dyplomacji.

NA DYWANIK?

Zdaniem Waszczykowskiego wypowiedzi Mosbacher powinny spotkać się ze zdecydowaną reakcją MSZ. – Należałoby panią ambasador zaprosić nie tyle na dywanik, ile na spokojną rozmowę wyjaśniającą przy kawie – mówi. – Tak robiłem, gdy ambasadorem USA w Warszawie był niechętny naszej władzy Paul Jones. Cierpliwie mu tłumaczyłem, że wbrew temu, co pokazują amerykańskie media, w Polsce nie mamy „drugiej Korei Północnej”. Amerykanie zawsze wtedy używają argumentu o wolności słowa, o tym, że media mają prawo do swojej narracji. To jednak nie oznacza, że nie należy z nimi o tym dyskutować. W tej chwili jednak najbardziej pragmatycznie byłoby sprawę przemilczeć. Przynajmniej do czasu wyborów w USA. Jeśli Trump przegra, to Georgette Mosbacher też najpewniej z Polski wyjedzie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Przemienienia Szczepana Twardocha



Krzysztof Masłoń

Dopiero pod sztandarem LGBT poczuł się Szczepan Twardoch właściwą osobą na właściwym miejscu. Przy okazji wykazując się politycznie



Szczepana Twardocha na wyżyny popularności literackiej wywindowała „Morfina” (2012), groteskowa historia okupacyjna o problemach z polską i niemiecką tożsamością, sprzedana w 100 tys. egzemplarzy powieść, nominowana do wszystkich możliwych krajowych nagród, ale nagrodzona jedynie przez czytelników. Finału Nike wygrać nie mogła, autor był bowiem postrzegany jako sympatyk prawicy, zatem dla literackiego mainstreamu – niezależnie od treści „Morfiny” – był postacią podejrzaną. Żeby zostać w pełni zaakceptowany, musiał przejść przemienienie. Może nie tak ważne jak Jezus na górze Tabor, niemniej znaczące. O tym jednak potem...

STANĄĆ W PRAWDZIE O SOBIE

W „Jak nie zostałem poetą” (2019) przedstawił Szczepan Twardoch swoją 300-letnią genealogię, zaczynając ją w roku 1746, cztery lata po tym, jak Fryderyk Wielki odebrał Śląsk Austrii. Wtedy to we wsi Bujaków w królestwie Prus urodził się Simon Twardoch, „którego – powiada autor książki – nieznani mi z imienia rodzice musieli przyjść na świat jeszcze jako poddani habsburscy”. Adresy się później, nie za często zresztą, zmieniały, a to na Zabrze, a to w końcu na Szczepanowe Pilchowice. Dziadek pisarza, Oskar, służył na wojnie w Wehrmachcie, „wojnę przeżył, za to zginął na kopalni w pięć lat po tym, jak wrócił z amerykańskiej niewoli. Miał dwóch synów: w 1944 r. urodził się Stefan, a w 1947 Jan. Jan to mój tata i jest on pierwszym Twardochem w całej tej trzystuletniej wyliczance, który urodził się w Polsce, gdyż ta się w międzyczasie u nas pojawiła. Moi synowie noszą imiona Franciszek i Jan, jak przed nimi wielu innych Twardochów, połączonych tym dziedzicznym wyłącznie w męskiej linii chromosomem Y i miejscem, w którym uparcie, bez żadnego powodu żyjemy. Nic się nie zmienia”.

Powiedzmy, że nic. W 2009 r. otrzymał Szczepan Twardoch za zbiór opowiadań „Prawem wilka” nominację do Nagrody Literackiej im. Józefa Mackiewicza. Dwa lata później za powieść „Wieczny Grunwald”, wydaną przez Narodowe Centrum Kultury w rywalizacji o tę samą nagrodę, dostał jedno wyróżnienie z dwóch (nagrodzony został wówczas Wojciech Wencel za tom „De profundis”).

O wyróżnionym „Wiecznym Grunwaldzie” z niejakim uniesieniem tak pisał nieżyjący już, niestety, Maciej Parowski: „Bardzo ciekawa to książka. Mitologiczną osią są tu grunwaldzkie zmagania, podczas których bywa i tak, że krzyżacy knechci i rycerze przedśmiertną skargę wyrzucają z siebie po polsku. Wiele miejsca zajmują tu losy plebejusza w średniowiecznym świecie, wychowywanego przez matkę w krakowskim zamtuzie, szkolącego się w sztuce szermierczej u zakonnego brata w Norymberdze. To on jest narratorem – jego opowieść, skarga, halucynacja na jawie, sen o sobie, o Polakach i Niemcach, o ich miłośno-nienawistnych zmaganiach, obsesjach to ironiczny trzeźwiący esej, w którym rozpoznajemy swoje mądre karykatury. [...] Jest w »Wiecznym Grunwaldzie« wyrażona expressis verbis tęsknota za uniwersalną ideą rycerstwa rozumianą humanistycznie i po chrześcijańsku, sponiewieraną wszelako na polach bitew i poza nimi.

Toteż także marny udręczony bohater Twardocha o wielu twarzach znajdzie swój moralny Punkt Omega. Kiedy Paczko, królewski bastard, po wielu freudowskich ojcobójstwach i okrutnych czynach dokonanych w różnych wcieleniach i czasach, przestanie w końcu nienawidzić sam siebie, spojrz też inaczej na innych. Kiedy to się staje, a my akurat kończymy lekturę, okazuje się, że Twardoch napisał nie tylko nowatorską książkę historyczną, lecz także powieść religijną.

Bardzo mi się to wszystko podoba. Także jako autorowi idealizującej Polskę i Polaków »Burzy«. Gorzka mądrość, sceptycyzm, przepełniające książkę Twardocha, są nam równie potrzebne jak optymistyczne wizje dające ukojenie”.

Po dłuższym czasie poznaliśmy autorski autokomentarz do wyróżnionej powieści, czytając wydane w 2015 r. „Wieloryby i ćmy. Dzienniki 2007–2015”. „Skończyłem pisać »Wieczny Grunwald« – wyznawał pisarz – i nagle zdałem sobie sprawę, że nigdy żadna książka nie kosztowała mnie tak wiele, jakbym się wyżył na kartki. Jakbym przeciekl przez klawiaturę do pliku i jakby zostały we mnie straszne, puste dziury. [...] Kiedy więc skończyłem »Wieczny Grunwald«, to, jak to się mówi w kościółkowym slangu, stanąłem w prawdzie o sobie. Nie bardzo mi się ta prawda spodobała, ale jeszcze mniej podobało mi się samookłamywanie, więc dałem sobie

■ spokój, dałem sobie spokój bycia ze sobą bez przmiotników, zrozumiałem, że mogę być ja-jako-ja, zrozumiałem, że tak naprawdę liczy się dla mnie tylko ta z góry skazana na niepowodzenie próba zrozumienia życia czy raczej próby i literackie dokumentowanie tych prób. Nie mam światopoglądu, nie obchodzą mnie prawacy w świętym starciu z lewakami, którzy również mnie nie obchodzą, kiedy zaś widzę różnych umiarkowanych centrystów, to dostaję mdłości z obrzydzenia. Nie ma hasła, które sprawiłoby, że chciałoby mi się trzymać transparent”.

DZIŚ MI SIĘ CHCE!

Przyznajmy, że Szczepan Twardoch ma problemy. „Czym dzisiaj – zastanawia się – epatować pozytywistycznie konserwatywno-socjalistycznie-liberalnych, tępo zadowolonych mikroburżuków z centrum handlowego, takich, co to i do kościółka pójda, i flamie bachora wyskrobia, jeśli trzeba, i potem się tym wyśkrobianiem zasmuca, i nawet pójda na psychoterapię? Można urządzać marsze i kontrmarsze, z pochodniami i z arafatkami, przestraszać się, tyle że mi się nie chce. Można wieszczyć ze szczątków samolotu, jak kapłan z kości w ogień rzucanych, ale tego też mi się nie chce, bo we wróżby wierzę tylko wtedy, kiedy wróża mi wszelką pomyślność. Mikroburżuk, jak mi się zdaje, nie zasłużył na bycie epatowanym, epatować można i warto było dawnych strasznych mieszczan, dzisiejsi mikroburżukowie to dawni mieszczenie już fabrycznie epatowani, nic w nich do epatowania nie zostało, skorupy wyschnięte. Wolę już epatować prawackich dziarskich chłopców, lewackich dziarskich też mógłbym i potrafił, lecz czerwona walkiria Ulrike Meinhof już nie żyje. Ale i prawacy, i lewacy dziarscy chłopcy to i tak zwykle żywe trupy, zafiksowane na swoich konceptualizacjach jak tomista na »Summie« albo raczej jak zombie na wyjadaniu ludziom mózgow, a jak się trupa walnie prądem, to może i nim trochę potrząśnie, jak żabimi nogami Galvaniego, lecz ożywić się przecież nie da. Spalić, co najwyżej, ale takiej mocy to ja nie mam”.

Jakieś jednak możliwości pisarz ma. I tak jak w reklamie powtarzał bez końca: „Dziś mi się nie chce”, aż nagle zabłysło mu oko, stwierdził: „Dziś mi się chce” i ze swoim druhem serdecznym Łukaszem Orbitowskim i lewicową postanką zrobił sobie sweet focie na spędzie LGBT

w Krakowie, deklarując, używając liczby mnogiej: „Nigdy nie chodzimy na manifestacje, a teraz poszliśmy”.

Słowem, dopiero pod sztandarem LGBT poczuł się Szczepan Twardoch właściwą osobą na właściwym miejscu. Przy okazji wykazując się politycznie – cytuję w tym miejscu jego wiekopomną uwagę z Facebooka: „Proszę już nie mówić, że pan Ziobro ma zero sukcesów. Oto na tym zdjęciu, na spontanicznej [jasne, że spontanicznej, bo LGBT samo w sobie jest spontaniczne jak cholera – przyp. K.M.] krakowskiej manifestacji przeciwko systemowej homofobii, najlepszą polską postankę Darię Gosek-Popiołek flankuje dwóch chłopów, którzy nigdy nie chodzą na żadne manifestacje, bo mają ku temu swoje powody, tak ich życie nauczyło. A teraz poszli. Jak to nie jest sukces, to już nie wiem”.

TO NIE MOJE ŚWIĘTO

Na Marsze Niepodległości pisarz nie chodził z powodów, rzekłbym, zasadniczych. Tak przynajmniej utrzymywał, wyjaśniając w zeszłym roku: „Nie świętuję 11 listopada. Nie wywieszam polskiej flagi. Wywieszałbym nawet dwie, polską i śląską, gdyby Rzeczpospolita Polska otoczyła swoją największą mniejszość etniczną opieką i szacunkiem, gdyby nie odmawiała nam konsekwentnie tych podstawowych praw, które mają na przykład Kaszubi. Niepodległość Polski nie dała Ślązakom i Górnemu Śląskowi nic dobrego, część Śląska przyłączyła wbrew wynikom demokratycznego plebiscytu, złamała wiele, jeśli nie wszystkie ze złożonych nam obietnic i od stu bez mała lat darzy nas głównie pogardą, niszcząc świadomie i przez zasiedlania naszą tożsamość i język, naszymi zasobami naturalnymi gospodarując tak, jak gospodaruje się w koloniach. Dlatego to nie moje święto. Czy kiedyś stanie się moim, tego nie wiem – to zależy od Rzeczpospolitej i jej polityki”.

Polemizować z człowiekiem udającym, że wierzy w demokratyczność plebiscytową i utrzymującym, że mające istotne problemy z zalegalizowaniem Stowarzyszenia Osób Narodowości Śląskiej, którego jest szarą eminencją, ma cele wyłącznie kulturotwórcze, najzwyczajniej mi się nie chce. Facet przedstawia się jako pisarz polskojęzyczny i Górnoślązak, którego książki, np. „Drach”, przekłada na śląski Grzegorz Kulik. No i dobrze, gdy jednak porównuje sytuację tegoż śląskiego języka (spróbujcie tylko powiedzieć

„gwary”!) do nazywanego „żargonem” jidysz, nieśmiało zwróć uwagę, że Singer w jidysz pisał i z tego języka go tłumaczono, a nie – jak Twardocha – z polskiego na śląski. Co nie znaczy, że nie życzę autorowi „Króla” Nobla. Biorąc pod uwagę to, jak przedstawia w swoich nowych książkach Niemców i Żydów, a jak Polaków, nie jest pozbawiony szans.

Czekamy właśnie na premierę serialu według „Króla”, który Canal+ od miesiąca anonsuje jako wydarzenie sezonu. Wcześniej powieść tę, poza wszystkim innym ukazującą przedwojenną Warszawę jako miasto żydowskie, wydano w Niemczech pod innym tytułem „Bokser”. To nic nowego: „Początek” Andrzeja Szczypiorskiego też funkcjonował nad Renem jako „Piękna pani Seidenmann”. A Szczepan Twardoch, promując „Boksera”, zapewniał: „Nie traktuję Niemców jako zagranicy”.

Oczywiście, jest on ceniony przez naszych zachodnich sąsiadów, którzy już cztery lata temu uhonorowali go za powieść „Drach” nagrodą Brücke Berlin Literatur und Übersetzerpreis, przyznaną przez Initiativpreis für den Theaterverlag Henschel Schauspiel. Nawiasem mówiąc, ta sama powieść przyniosła mu Nagrodę Kościelskich.

COŚ W STYLU PSYCHOZY

W trakcie ostatnich wyborów prezydenckich wypowiadał się zdecydowanie; po drugiej kadencji Andrzeja Dudy nie spodziewa się raczej niczego dobrego, ale np. suchej nitki nie zostawił na kandydacie Hołowni, wieszcząc, że „cały ten projekt polityczny bazujący na próżności i bużującym ego telewizyjnego celebryty skończy się za parę lat tam, gdzie skończył dziś pan piosenkarz Kukiz i wszystkie »antypolityczne« kandydatury w stylu reality TV”.

Popierającym w wyborach Rafała Trzaskowskiego osobom publicznym zarzucił zaś, że „tradycyjnie nie potrafiły powstrzymać swojej pogardy” dla głosujących inaczej niż oni. Platformersi – pisał – agituja w ten sposób: „Głosujcie na naszego kandydata, chociaż się wami głęboko brzydzimy i chcemy świata, w którym osoby tak odrażające, śmierdzące wódką i kiełbasą nie będą miały nic do gadania”. Wtrąca przy okazji, że jemu akurat wódka i kiełbasa nie śmierdzą, co jest jednak populistycznym gestem z jego strony, gdyż z lektury „Wielorybów i ciem” wiem, iż pisarz gustuje w owocach morza, np. w langustynkach, których konsumpcje w Casablance opi-

suje wspaniale. I rozumiame jest dla mnie, że podniesienie stawki podatku VAT na rzeczowe langustynki, czego dokonał PiS-owski rząd, musiał pisarz przyjąć ze zgrozą, którą zresztą w pełni podzielam.

Przypomniał mi się w tym miejscu niegdysiejszy, jak zwykle mało przytomny, atak krytyczki Dunin po którymś z niepasujących jej wywiadów Twardocha, tak go podsumowującej: „Interesują go głównie przedłużenia własnego: kasa, sława, udana rodzina, samochód, pływanie na jachcie, eleganckie garnitury. A poza tym nie imponuje mu »lewica, która potrafi tylko kwilić«. Wolałby taką, która »pobije skina«. Jego prawo, jego wybór. I nie jest w tym odosobniony, tylko nie każdemu się udaje tyle zarobić”.

Tego, że na lewicowości – prawdziwej czy udawanej – zarabia się bez porównania więcej niż na wszelkiej maści konserwatyzmie, nie trzeba nikomu tłumaczyć. A osiągnięcia materialnego dostatku mogą pisarzowi jedynie pogratulować; za długo żyliśmy w państwie, w którym „chudego literata” stawiano za wzór wszystkim piszącym.

Zastanowić może jednak w książce „Jak nie zostałem poetą”, skądinąd złożonej z tekstów drukowanych wcześniej w miesięczniku „Pani”, osobliwe wyznanie autora: „Ciagle nie zdecydowałem, czy uprawianie literatury jest dla mnie po prostu zawodem, czy może raczej czymś w rodzaju choroby psychicznej. W tej chwili skłaniam się raczej ku tej drugiej możliwości. Uprawianie literatury wydaje mi się teraz czymś w stylu psychozy maniakalno-depresyjnej. Na szczęście płatnej”.

ANTYREWOLUCJA U BRAM

Jak w swoich książkach prezentował Szczepan Twardoch naszą polską rzeczywistość? Na pewno bez upiększeń. Dajmy na to, antykomunistycznych działaczy pokazywał jeśli nie karykaturalnie, to zawsze z dozą ironii i, niestety, z niemąłą znajomością rzeczy tego świata: „Może za którymś z tych ciagle rozświetlonych okien miasta kręci się powielacz – wspominał lata 80. w »Przemienieniu« – na kredensie stoi bimber, z kasety cieknie nagrany na koncercie Kaczmarski, a każdy z pięciu zebranych w pokoju opo-zy-



cjonistów słusznie podejrzewa kolegów o to, że kapują na SB”.

Wydane w 2008 r. „Przemienienie” jest książką w dorobku Szczepana Twardocha bardzo ważną. Nie tylko ze względu na znaczący, w świetle naszych tu rozważań, tytuł. Jest to zatracająca (ale tylko zatracająca) o political fiction opowieść o końcowych latach komuny w tle z walką reżimu z Kościołem. Ale... czy to była walka?

Główni bohaterowie powieści, esbecy, oczywiście tylko wybrani, zorientowali się – na tyle byli bystrzy – że katolicyzm nie ma sensu zwalczać, że trzeba go rozgrywać. Po to w końcu powstawały specjalnie do tego przygotowane stowarzyszenia i redakcje pism, w których patriotycznie i postępowo nastawieni księża profesorowie pisali na zlecenie resortu artykuły o tym, że Wyszyński jest zły i ograniczony wstecznik. Co ważne jednak, artykuły te nie powstawały z pozycji dbałości o dobro socjalistycznej ojczyzny, lecz z dbałości o dobro Kościoła posoborowego. To już zdecydowanie nie były czasy Związku Wojujących Bezbożników ani nawet księży-patriotów z lat stalinowskich. Za to co mądrzejsi wiedzieli, że „im Kościół liberalniejszy, tym słabszy”.

Najbardziej negatywną postacią okazuje się płk Drzewiecki, naprawdę Mojżesz Holzman, po marcu 1968 r. niby usunie-

ty z resortu, naprawdę jednak jego szara eminencja, szef niejawniej struktury prowadzącej wyrafinowaną grę z Kościołem. Bohater „Przemienienia” dowiaduje się jednak, że to on właśnie jest winny śmierci jego biologicznych rodziców, a zatem musi ponieść konsekwencje: „Antek nie żałował życia, które mu odebrano, nie zamierzał również przejść na drugą stronę barykady tylko dlatego, że ojciec strzelał do tych, których Antoniemu Szarzyńskiemu prezentowano na zajęciach w Legionowie jako bohaterów z heroicznych początków resortu. Widział, jak nędzni są to ludzie, nie imponowali mu jednak również ci przegrani partyzanci, którzy podejmowali walkę w imię czegoś, czego Antek nie potrafił nawet zrozumieć”.

Zwraca uwagę charakterystyka głównego bohatera, owego Antka, sporządzona przez profesora psychologii na potrzeby esbeckiej „akademii” w Legionowie: „Inteligentny, chłodny, niepoddający się ani emocjom, ani odruchom o charakterze moralnym. Przystosowuje się do norm panujących w społeczeństwie, dekodując je z zachowań innych, na zasadzie intelektualnego uznania konieczności ich przestrzegania, nie na zasadzie wewnętrznej potrzeby”. Nie mogła wpisać do tej charakterystyki narzucającej się wręcz „osobowości psychopatycznej”. Czytamy bowiem: „Psychopata to nie jakiś świr albo szaleniec, tylko po prostu człowiek analizujący świat relacji społecznych i podejmujący decyzje na podstawie chłodnej analizy”.

Jeśli zaś chodzi o esbecką strukturę, to słusznie domyślał się, że jej głównym celem jest przygotowanie resortu na nieuchronne zmiany, które zbliżały się szybkimi krokami. A może i o coś więcej. Drzewiecki bowiem marzył: „To dziejowy zwrot, który nadejdzie, a w którym Europa odzyska swoją tożsamość i stanie się na powrót podmiotem, a nie przedmiotem historii”. „Kościół – tłumaczył – to tylko jeden z frontów, na których walczymy. Prawdziwą wartością jest dla nas Europa, jej wojownicze, starodawne cnoty. Naszym wrogiem jest Europa zgnuśniala, której jedynym zmartwieciem są brzuch i kabza”.

„Aby Europę zmienić – wyjaśniał – muszą dokonać się dwa przemienienia. Pierwszym jest zniesienie granic, które dzielą naszą cywilizację na dwoje. Obóz socjalistyczny zniknie, znikną granice. Europa stopi się w jedno. To na rzecz tego przemienienia odbywa się cała nasza praca, wewnątrz służb specjalnych w różnych krajach wewnątrz Kościoła, w rządach i w organizacjach międzynarodowych. Kiedy więc Europa będzie jednością, pierwsze przemienienie się zakończy. Jednak to przecież nie Europa nabijania kabzy, nie Europa powszechnego dobrobytu nas interesuje i wtedy przyjdzie czas na przygotowanie drugiego przemienienia”, a wtedy „[...] wpływy zamienimy w kontrolę. Będziemy liberalni i demokratyczni do obrzydzenia i kiedy już będziemy kontrolować tę zjednoczoną Europę, to zalejemy ludzi takim potokiem liberalnych swobód, że przekroczy my masę krytyczną i niejako samoistnie wybuchnie w Europie coś na kształt liberalnej antyrewolucji. Ludziom zbrzydnie w końcu napychanie kabzy i brzucha i będą chcieli czegoś więcej. Oczywiście, my staniemy na czele tej antyrewolucji i my damy im to, czego będą chcieli – szansę na wielkość. Ta antyrewolucja zmiecie wszystko, co kojarzy nam się ze starą, czyli współczesną, Europą, zmiecie demokrację z partiami politycznymi, zmiecie Kościół, zmiecie kapitalistów i ich firmy, z niej wyłonią się zupełnie nowi ludzie. I ty, Antku, możesz być jednym z tych, którzy będą na czele tego wielkiego, historycznego procesu [...]”.

Bohater powieści Twardocha robi jednak co innego – podrzyga gardło społecznemu wizjonerowi i mordercy swoich rodziców w jednej osobie. Co się z nim później stanie? Może poprosi o schronienie Amerykanów, okupując się mocnymi kwitami z sejfu Drzewieckiego, a może posmakuje w zabijaniu, bo trup ściele się za nim gęsto... Wybór zależy od czytelników „Przemienienia”, w którym rozbrzmiewa echo głośnie w momencie powstawania powieści książki ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego „Księża wobec bezpieki na przykładzie archidiecezji krakowskiej”.

PO ŚLADACH MAGDY CIEŃ

Znany jest Twardoch z ostrego języka, niestroniącego od wulgaryzmów. Po tym, jak od Rady Języka Polskiego otrzymał w zeszłym roku tytuł Ambasadora Polszczyzny w Piśmie, przyznał, że „słów

powszechnie uznawanych za obelżywe używam – nawet w piśmie – częściej niż chociażby imiesłówów zaprzeczonych, jednak do przeszłości odchodzą już chyba, na szczęście, inteligenckie wzorce »pięknej polszczyzny«, których jedyną funkcją była klasowa dystynkcja i systemowa pogarda [wężykiem, Jasiu, wężykiem – przyp. K.M.]”.

I znów przynudzał niczym Kukiz o JOW-ach, że „śląski jest językiem, po śląsku nie tylko godomy, ale też tłumaczymy na śląski programy komputerowe, wydajemy po śląsku książki, na przykład moje powieści, które pięknie na śląski przekłada Grzegorz Kulik, prowadzący też teraz prace nad śląskim słownikiem i gramatyką. Nie robimy tego dla hecy, albo jakbyśmy powiedzieli po śląsku, do szpasu, robimy to z miłości do tego języka.

Język ten jednak bez wsparcia państwa polskiego nie przetrwa, nie przetrwa nawet w tak szczątkowej formie, w jakiej trwają uzależnione od państwowej opieki małe języki Europy, jak na przykład luksemburski czy irlandzki”.

Wcześniej, gdy bluznął na Polskę z samych trzewi, uzasadnił bluzg, zapewniając: „Nie wypowiadam się na temat autonomii, nie wiem, czy Śląsk poradziłby sobie jako region autonomiczny, to jest kwestia ekonomiczna i organizacyjna. Wiem natomiast, że Ślązacy zasługują na uznanie swojej odrębności etnicznej. To jest jedno z elementarnych praw człowieka i ta odrębność wynika z historii po prostu. Nie spadliśmy z Księżyca wczoraj, jesteśmy tu od zawsze, a przynajmniej od dawna. To Polska do nas przyszła, a nie odwrotnie”.

Tak się jednak składa, że to z Ruchu Autonomii Śląska, uzurpującego sobie prawo do niemal wyłączności w reprezentowaniu Ślązaków, płyną pogardliwe wypowiedzi o Polsce i Polakach. A odnośnie do tego, do kogo przyszła Polska, a kto do niej przyszedł, to nasuwa mi się porównanie Twardochowej postawy z Rymkiewiczową. Myślę tutaj, oczywiście, o Jarosławie Marku Rymkiewicz, który stwierdził, że najprawdopodobniej nie ma w sobie ani kropli krwi polskiej. Nie pyta jednak o to, co ojczyzna robi dla niego, a co powinna zrobić; pilnuje swoich wobec niej obowiązków. Prywatnych i publicznych.

Czas pandemii Twardoch spożytkował m.in. na pisanie w odcinkach, do spółki z Łukaszem Orbitowskim, historii detektywa Zdzisława Zarazka. W zamie-

rzeniach miała ona „rozjaśniać ponure dni”, mnie jednak wprowadziła w nastrój jeszcze bardziej ponury, jako że ma się do takich powieści jak „Wieczny Grunwald” Twardocha czy „Kult” Orbitowskiego jak pięść do nosa.

Sięgnijmy po „Na zarazę Zarazek”: „Premier przewrócił oczami. Na jego strudzonych barkach spoczywała nie tylko odpowiedzialność za cały kraj, za swoje decyzje odpowiadał nie tylko przed historią, nie tylko przed wyborcami, ale, co najgorsze, przede wszystkim przed mściwym, złośliwym staruszką, którego boli sztuczne kolano, który nie kocha nikogo i gardzi wszystkimi poza swoją sekretarką, niczym Czyngis Chan partyjnej intrygi uwielbia zostawiać za sobą pożogę, który tak, jak Henryk V odrzucił Falstaffa, nie wahał się odrzucić swych najbliższych przyjaciół, gdy tylko zdobył upragnioną władzę...”

Swoją drogą, zamyślił się premier, jak różnie mogą się starzeć ludzie. Przecież mecenas Lek jest rówieśnikiem mściwego staruszka, studiowali nawet na jednym roku, a czy patrząc na sprężyste, dziarskiego, niestroniącego od kobiet i alkoholu Leka, ktokolwiek nazwałby go staruszką?”.

Zagadnienie, kogo podstawić można pod mecenas Leka, pozostawiam dociekliwości czytelników tasiemca, któremu patronuje pamiętna jeszcze z czasów Urbanowej świetności Magda Cień.

We wrześniu ukaże się nowa powieść Twardocha – „Pokora”. Nie, nie będzie ona dowodem pisarskiej pokory. Pisarz opowiedzieć chce nam o perypetiach lejtnanta Pokory. Cóż, przeczytamy, zobaczymy. W każdym razie kolejnego przemienienia autora się nie spodziewam. Na swojej górze Tabor doszedł do miejsca, w którym czuje się wygodnie, a powiewająca nad nim tęcza flaga zapewnia mu jakże świetną pozycję rzekomego nonkonformisty, w głębokim poważaniu mającego polskie przepychanki, polskie piekło i niebo.

Naturalnie, postawił kiedyś pisarz przed sobą ważne i może potrzebne zadanie: redefinicję polskości jako takiej. Tyle że w wydaniu Szczepana Twardocha wybrzmiało ono następująco – cytuję: „Pierdol się, Polsko”. Trudno stwierdzić, jak odpowie mu Polska, czy przypadkiem nie równie dosadnie: „Pierdol się, Twardoch”. Z całym swoim przemienieniem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Piotr Semka

I znów wszyscy cofnęli się znad przepaści. Z trudem, ale schowali do kieszeni urazy i wzajemne podejrzania. Wizja nowych wyborów zadziałała jak zimny prysznic

Negocjacje znad krawędzi

W chwili, gdy piszę te słowa, wszystko wskazuje na to, że doszło do ugody na linii PiS – Solidarna Polska – Porozumienie Jarosława Gowina. Oczywiście najbardziej kluczowa była ugoda między Jarosławem Kaczyńskim a Zbigniewem Ziobrą. Po środowych wieczornych rozmowach jedynym nierozwiązanym punktem pozostaje tzw. ustawa bezkarnościowa, ale Ziobro wiele uzyskał. Jak się zdaje, obronił głowę prokuratora krajowego Bogdana Świączkowskiego oraz wpłynął na poprawki w kwestii „piątki dla zwierząt”. Bolesną stratą jest dla Solidarnej Polski utrata Ministerstwa Środowiska, które zapewniało nadzór nad lasami i geologią. Kolejna kwestia, która może jeszcze być kością niezgody, to żądanie Kaczyńskiego, aby

w Ministerstwie Sprawiedliwości jedno ze stanowisk wiceministra było dla PiS. Ziobro może jednak mówić o znaczącym wzmocnieniu swojej pozycji w porównaniu z sytuacją sprzed tygodnia. Negocjował z Kaczyńskim niemal jak równy z równym. Media sprzyjające opozycji na chwilę zawiesiły ataki na Jarosława Kaczyńskiego, aby skupić się na „dobrych radach” usunięcia Solidarnej Polski z koalicji. Partia Ziobry przeszła próbę ognia – nikt z kuszonych przejściem do PiS nie uległ i ugrupowanie to pokazało swoją spójność. Równie dobry nastrój może mieć Jarosław Gowin, który wychodzi z kryzysu ze stanowiskiem wicepremiera i być może ministra w nieco powiększonym Ministerstwie Rozwoju.

Oznacza to, że partie koalicyjne zachowały trójdzielny status koalicji. Powtórzył

się scenariusz z maja, gdy ostry konflikt z Jarosławem Gowinem sprzeciwiającym się wyborom w maju zakończył się mimo dramatycznych okoliczności ugodą z Kaczyńskim. Raz jeszcze okazuje się, jak wiele w polityce znaczy arytmetyka. Zarówno Gowin, jak i Ziobro mają wystarczająco dużo głosów, by decydować o tym, czy rząd PiS ma większość, czy nie.

Ostatecznie Jarosław Kaczyński odrzucił pomysły rządu mniejszościowego i nowych wyborów. Także w Solidarnej Polsce nie wygrały zapalczywe głosy, aby zdecydować się na przyspieszone wybory i startować w nich w jakiejś koalicji z Konfederacją. Koalicjanci po okresie wzajemnych oskarżeń i krytyk zrozumieli, że są na siebie skazani.

WEJŚCIE SMOKA

Niewątpliwie najbardziej zaskakującym dla wielu Polaków efektem negocjacji będzie objęcie przez Jarosława Kaczyńskiego funkcji wicepremiera. Dla ludzi nieobserwujących na bieżąco polityki, może to być deprecjacja pozycji lidera PiS. Kaczyński jednak, dobrze znający swoją pozycję, raczej nie będzie przywiązywać do takich głosów wagi. Jego nowa rola nadzorcy MSW, MON i Ministerstwa Sprawiedliwości jest próbą zakończenia procesu, który bardzo szkodził gabinetowi Zjednoczonej Prawicy. Chodzi o coraz gorętszą rywalizację między Zbigniewem Ziobrą a premierem Morawieckim. Kaczyński jako swoisty superwizor Ziobry ma pilnować, by konflikt ten nie rozsadził rządu. Ma też ukrócić występowanie przez ziobrystów z postulatami z zakresu sporów cywilizacyjnych. Ludzie premiera skarżyli się na nie, uznając je za pomysły nieskoordynowane z szefem rządu.

Wicepremierostwo to dla Kaczyńskiego nieco ryzykowne doświadczenie. Po 13 latach odwyku od pełnienia rządowych funkcji musi teraz na nowo wdrożyć się do praktyki gabinetowej. Oczywiście korzystając ze swej mocnej pozycji, sam będzie ustalał reguły gry, ale jest to znacząca zmiana, która będzie miała jeszcze jedną poważną konsekwencję. Wejście lidera PiS do rządu osłabia pozycję Mateusza Morawieckiego jako lidera polityki Zjednoczonej Prawicy. Może dojść do tego, że iluś ministrów zacznie konsultować swoje pomysły najpierw z formalnym wicepremierem, a dopiero potem z szefem gabinetu. Tylko od Kaczyńskiego będzie zależało, czy ukrócić będzie podobne praktyki mogące wprowadzić do rządu chaos.

FOT. MATEUSZ WIDARZYŃSKI/FORUM

Zwolennicy niestandardowego pomysłu na wicepremierstwo Kaczyńskiego wskazują, że jest to wynik pogłębionej refleksji lidera PiS nad słabą skutecznością rządu Morawieckiego. Według tych opinii Kaczyński uznał, że rozdęty rząd stał się niesterowny. Jeśli spełni się informacja o gabinecie złożonym tylko z 12 ministrów, to będziemy mogli być świadkami „szarpnięcia za cugle” w aparacie państwowym. Jan Maria Rokita na marginesie rozważań o rekonstrukcji rządu przypomniał, że mała efektywność władzy była już przedmiotem refleksji Kaczyńskiego w latach 2006–2007. Rokita przypominał, że lider PiS jako premier prowadził wtedy specjalny zeszyt, w którym zapisywał polecenia wydawane ministrom i potem sprawdzał ich wykonanie. Pytanie, czy teraz ze stanowiska wicepremiera będzie w stanie zwiększyć efektywność rządu i czy nie zamieni się to w swoistą dwuwładzę podcinającą skrzydła Morawieckiemu. Jeśli użyć barwnej metafory, to wejście naczelnika z Nowogrodzkiej do rządu przypomina nieco wzmocnienie kontroli dyrektora szkoły nad klasą, w której wzajemne animozje wpłynęły na zdolność dobrego funkcjonowania. Pesymiści wskazują, że dołączenie Kaczyńskiego do rządu to ostateczność, której użyto zbyt szybko.

ZA WSZYSTKO SIĘ PŁĄCI

Jeśli uznamy, że prezes PiS postanowił zdyscyplinować wszystkich harcówników w obozie Zjednoczonej Prawicy za pomocą testu lojalnościowego – „piątki dla zwierząt” – to cena, którą płaci za ten manewr, nie jest niska. Prezesa PiS zawiodło wycucie polityczne. Kaczyński mógł być niemile zdziwiony skalą kontestacji jego projektu nie tylko w ugrupowaniach koalicyjnych, lecz także w jego własnej partii. Teraz musi stanąć wobec problemu, jak ten podział rozwiązać. Jeśli lider PiS dogaduje się z Solidarną Polską, która zagłosowała przeciw ustawie, to w imię czego mają być zawieszeni posłowie PiS, którzy zachowali się dokładnie tak samo? Najbardziej konkretną konsekwencją przeforsowywania ustawy o ochronie zwierząt stał się konflikt z ministrem Janem Ardanowskim. Jarosław Kaczyński stracił ministra, który zrobił bardzo wiele dla przyciągnięcia do rządzącej partii wyborców ze wsi. Jeśli PiS prowadził od lat politykę zabierania PSL elektoratu wiejskiego, to starcie z Ardanowskim stanowi zmarnowanie wysiłku ostatnich paru lat. A odepchnięty minister już komentuje „piątkę dla zwierząt” jako

dowód na neomarksistowskie myślenie. Jeśli przyciągnie go do siebie PSL, wówczas będzie dolegliwym krytykiem rządu.

GDZIE TKWIŁ BŁĄD?

Jeśli PiS myśli nie tylko o przetrwaniu u władzy przez najbliższe trzy lata, lecz także o nowej kadencji, to musi z ostatniego kryzysu wyciągnąć bardzo poważne wnioski. Kaczyński przekonał się boleśnie, że z koalicjantami trzeba się liczyć. Wizja przyspieszonych wyborów oznaczać może rozstanie z władzą. Jednocześnie zarówno PiS-owcy, jak i ziobryści oraz gowinowcy muszą ucywilizować swoje wzajemne relacje. Od dłuższego czasu można było odnieść wrażenie, że utracili świadomość, jak wewnętrzne wojenki różnych grup kompromitują prestiż rządu, jak bardzo marnują jego potencjalną skuteczność. Nawyk rozmaitych słownych ataków i zaczepek faktycznie demoralizował partię. Z jednej strony budził złe emocje u koalicjantów, z drugiej stawał się alibi dla Gowina czy Ziobry, aby w kluczowych momentach stawać okoniem.

Coś musi jednak być w narzekaniach na zbyt wygórowane apetyty polityczne Solidarnej Polski. Premier Morawiecki może czuć się oburzony, gdy dowiaduje się, że prokuratura bada jego działalność z przeszłości. Nakłada się na to naturalny lęk „starego PiS” przed dynamiczną grupą 30-, 40-latków, których zgromadził wokół siebie Ziobro.

Teraz, gdy ziobryści przetrwali poważny kryzys w Zjednoczonej Prawicy, muszą sobie zadać pytanie, dlaczego inni tak się ich boją. Zastanowić się, czy są zdolni do samoograniczenia swoich ambicji. Kaczyński postanowił uspokoić sytuację, przechodząc do ręcznego kontrolowania ambitnej grupy. Pytanie, czy skutecznie wygasi on swary wokół rządu. W tle jest jednak jeszcze jeden wybór. Czy rząd ma wygaszać kwestie cywilizacyjne i iść w kierunku tematyki, która kojarzy się z wychyleniem w stronę centrum? Jeśli spora część wyborców obawiała się usunięcia ziobrystów z rządu, to dlatego, że gotowość do zajmowania wyrazistego stanowiska w sporach cywilizacyjnych pozwoliłoby być w rządzie PiS uznawana za coś szkodliwego. I tu znów pewną winę ponosi Kaczyński, który nie był w stanie określić, jak ma się lansowany ostatnio wychył w kierunku młodszego elektoratu do szerszej zmiany oblicza ideowego partii. Wypuszczanie lidera Forum Młodych PiS do prezentowania nowej agendy

skupionej na ekologii czy problemach młodych wyglądało jak zmiana ideologiczna wprowadzona po cichu. I jeszcze jeden element ostatniego kryzysu.

Wielu posłów PiS poświadczą, że nagły konflikt w łonie rządzącej partii był absolutnie niezrozumiały dla wyborców. Mieli oni w pamięci maraton czterech kolejnych wyborów, pamiętali o skali swojego zaangażowania w sukces i tym bardziej irytowali się na nieodpowiedzialność polityków ZP, którzy dopuszczali możliwość nowych wyborów. Ludziom, którzy bardzo często w swoich środowiskach mobilizowali się na rzecz wygranej PiS w kolejnych wyborach, taka nonszalancja kojarzyła się z lekceważeniem ich starań wyborczych. Jeżeli PiS chce przetrwać, to musi teraz zanalizować historię tak ostrego ostatniego konfliktu. Inaczej wewnętrzne spory znów będą buzować pod powierzchnią, by ujawnić się w najmniej korzystnym dla PiS momencie.

W latach 70. popularny był czeski film „Straszne skutki awarii telewizora”. Opowiadał on o rodzinie, która zazwyczaj spędzała wieczory, wpatrując się w szklany ekran. Dopiero gdy pewnego wieczoru telewizor odmówił posłuszeństwa, wszyscy zaczęli wyrzucać sobie nagromadzone od dawna pretensje i żale. Tylko wskutek awarii odbiornika cała rodzina mogła się dowiedzieć, ile nierozłożonych w dyskusjach spraw nagromadziło się od dłuższego czasu.

W przypadku PiS jest podobnie. Zabrakło poważnej refleksji po szczęśliwym przejściu czterech prób wyborczych. Dopiero negocjacje w sprawie restrukturyzacji rządu pokazały, że PiS zaczyna przypominać niektóre rodziny, gdzie wszyscy się doskonale znają i nie lubią. Zabrakło forów, na których te utajone, ale zabójcze dla rządzącej partii procesy mogły być spokojnie przegadane i jakoś rozwiązywane. Jeśli PiS nie znajdzie sposobu na rozładowywanie takich zabójczych tendencji, to kolejny kryzys wybuchnie w najmniej oczekiwanym momencie.

Jarosław Kaczyński zorientował się już, że sama taktyka „dziel i rządź” w Zjednoczonej Prawicy nie gwarantuje skuteczności. Pytanie, czy będzie w stanie stworzyć forum, na którym koalicjanci będą cierpliwie, ale skutecznie przedyskutowywać kolejne zamierzenia. Jeśli Zjednoczona Prawica się tego nie nauczy, to polityczne trzęsienie ziemi będą się powtarzać. A wyborcy będą coraz bardziej rozgorzyceni kolejnymi wojenkami na górze.

Chcesz pozostać w Unii, szykuj polexit



Rafał A. Ziemkiewicz

Starożytni mówili, że kto chce pokoju, ten musi przygotowywać się do wojny. W sporze, którego osią jest fundamentalna dla Polski sprawa zachowania suwerenności, istotnym czynnikiem jest przekonanie przeciwnika, że potrafimy w razie potrzeby zrobić coś więcej, niż tylko narzekać, iż dzieje się nam krzywda i bezprawie

Często powtarzane stwierdzenie, że Polska i Węgry mają problem z Unią Europejską, nie do końca odpowiada prawdzie. Nasz problem z uzależnianiem wypłat unijnych funduszy od arbitralnej oceny „stanu praworządności” to tylko konsekwencja znacznie większego problemu, jaki Unia Europejska ma sama ze sobą. Paradoksem jest, z naszego punktu widzenia, że podejście unijnych przywódców do tego problemu jest bardzo „PiS-owskie”, i to



da – a ta była tak długo, jak długo trwała prosperity. Gdy zaczęły się problemy, naturalny odruch kazał każdemu z państw radzić sobie z nimi na własną rękę.

Tymczasem dziesięciolecia funkcjonowania Wspólnoty Europejskiej we względnie dobrobycie wytworzyły wpływowe elity, zarówno polityczne, jak i opiniotwórcze, dla których jej ciągłe zacieśnianie stanowi być albo nie być. To one forsowały projekty, które miały uczynić integrację mocniejszą i nieodwracalną, nawet jeśli z merytorycznego punktu widzenia były nieuzasadnione czy wręcz nieracjonalne (przykładem wspólna europejska waluta). To te elity upowszechniły przekonanie, że integracja jest procesem nieodwracalnym i niepożycnym do zatrzymania ani nawet spowolnienia – a jedynym lekarstwem na wszelkie problemy jest jej przyspieszenie i pogłębianie, wiodące ku przekształceniu Unii w „stany zjednoczone Europy”.

DWIE PRĘDKOŚCI

Oczywiście ideologiczne założenia jak zwykle okazały się w praktyce nie działać. Społeczeństwa europejskie generalnie nie dorosły do wielkich planów, ważna dla ich realizacji „konstytucja europejska” została odrzucona w referendach – „zacieśnianie integracji” przybrało więc formę skrytego, bardziej sprytnego „rozpychania się” instytucji unijnych ponad kompetencje przyznane w traktatach. Komisja Europejska, stworzona jako sekretariat wykonawczy kontrolujący wspólną politykę, zaczęła nadawać sobie rangę europejskiego rządu, Parlament Europejski, praktycznie służący tylko korumpowaniu elit politycznych krajów członkowskich, zaczął się zachowywać jak ponadpaństwowy prawodawca, a TSUE zaczął orzekać w sprawach, w których nie przyznano mu kompetencji, tak jakby był Sądem Najwyższym ponad sądami najwyższymi krajów członkowskich.

Główne, najsilniejsze państwa Unii milcząco odrzuciły te uroszczenia – najlepszym przykładem są Niemcy, ignorujące kilkadziesiąt orzeczeń TSUE, z decyzją Trybunału Konstytucyjnego jednoznacznie deklarującego prymat prawa niemieckiego nad unijnym. Dłatego atak zwolenników „stanów zjednoczonych Europy” przesunął się na państwa słabsze – i to już zyskało wyraźną aprobatę unijnych potęg.

Jakkolwiek eurokraci lubią mówić o postulowanym jednolitym państwie europejskim jako „stanach zjednoczonych”, to powyżej nakreślona sytuacja sprawia, że wznoszona budowla nie ma nic wspólnego z Ameryką. Trudno powiedzieć, by któryś z tamtejszych stanów był uprzywilejowany wobec innych albo by jedne wyzyskiwały drugie – natomiast przepływy w Unii Europejskiej mają charakter coraz bardziej „nieekwiwalentny” i są wyprowadzaniem na Zachód majątku zdobywanego w nowych krajach członkowskich. Po części ma to charakter krytego znowu milczenia silnych krajów bezprawia, w czym szczególną rolę odgrywa Luksemburg, którego były premier nie przypadkiem postawiony został na czele najbardziej odrzucającej pierwotne, Schumanowskie założenia Wspólnoty. Po części dzieje się zaś coraz bardziej jawnie i bezwstydnie.

Kamieniem milowym tego procesu była wyborcza wygrana Emanuela Macrona, jawnie głoszącego odejście od fundamentalnej dla UE wolności „przepływów” i odebranie krajom naszego regionu korzyści ze wspólnego rynku, przy zachowaniu korzyści Zachodu. Od tego momentu wspólny rynek coraz bardziej staje się fikcją, jest coraz mocniej regulowany, zawsze w tym samym kierunku – maksymalizowania zysków metropolii i ograniczania możliwości wykorzystania w konkurencji z nią posiadanych atutów nowym państwom członkowskim. W tym właśnie punkcie dążenie „rozpychających się” w swych kompetencjach eurokratów do umocnienia władzy nad państwami spotyka się z interesem silnych państw, które w takiej władzy nie widzą zagrożenia dla siebie, uznają je natomiast za narzędzie, którym będzie można wydatnie przyspieszyć proces dzielenia Unii na spijającą całą śmietankę metropolie oraz zepchnięte do roli prowincji i zaplecza kraje „drugiej prędkości”.

Nie trzeba chyba tracić czasu na udowadnianie, że „praworządność” jest tu jedynie pretekstem. I to bardzo słabo uwiarygodnianym. Oficjalnie przyczyną uzależniania dostępu do wspólnych funduszy ze „stanem praworządności” jest ochrona unijnej pomocy przed ewentualnym rozkładem wskutek korupcji i bezkarności struktur mafijnych. Każdy wie, że to na pewno nie Polska i Węgry są tymi krajami, w których najbardziej im to grozi. Gdyby przyczyną działań na rzecz „ochrony praworządności”

zarówno po stronie diagnozy, jak i zaordynowanych leków.

Tym problemem jest, mówiąc językiem naszego obozu rządzącego, „imposybilizm”. Unia w kształcie zaprojektowanym przez Schumana i innych założycieli, jako wspólnota gospodarcza, oparta na trzech swobodnych przepływach (kapitału, pracy oraz towarów i usług), była politycznie niesterowna, funkcjonowała tylko o tyle, o ile była co do jej funkcjonowania jednomyślna zgo-

■ rzeczywiście była obawa przed zmarowaniem unijnej pomocy (co istotnie wielokrotnie w dziejach UE miało miejsce, bynajmniej nie tylko w naszym regionie), to pod lupą znalazłby się nie Morawiecki czy Orbán, ale na przykład Bojko Borisow, premier Bułgarii, od lat oskarżany przez opozycję o stworzenie potężnego układu korupcyjnego niszczącego kraj.

Tymczasem jest przeciwnie. Borisow, członek EPL i osobisty znajomy jej formalnego lidera, Donalda Tuska, ma na Zachodzie jak najlepszą prasę i można powiedzieć, że mimo wszystkich ujawnianych na jego zapleczu afer uchodzi właśnie za wzorowego polityka „nowej Unii”. Z punktu widzenia zarówno eurokratów, jak i liderów Francji, Niemiec, Belgii czy Holandii, korupcja, której patronuje, jest mniej ważna od tego, że układ, który zbudował, pomaga „starej Unii” w stopniowym kolonizowaniu kraju, zarówno ideologicznie, jak i ekonomicznie. Cynicznie można powiedzieć, że korupcyjny charakter „proeuropejskiej” bułgarskiej elity wręcz temu sprzyja.

Nie mamy wątpliwości, że identycznie patrzyłby Bruksela i Berlin na Polskę, gdyby nadal rządili tu kolekcjonerzy zegarków, uwiecznieni na taśmach z Sowj. Przyjaciół. I nie dziwnym się, że ich powrót do władzy jest tam uważany za scenariusz pozytywny. Pociąga to za sobą tę słabość, że eurokraci traktują polityków PO i Lewicy jako wiarygodne źródło informacji na temat Polski i prawdopodobnie wierzą, bo są o tym przez swych polskich przyjaciół zapewniani, że jeśli będą Polskę upokarzać i straszyć „wyrzuceniem z Unii”, to prounijne polskie społeczeństwo odwróci się w panice od PiS i wyniesie do władzy kogoś w rodzaju Borysa Budki czy Rafała Trzaskowskiego. Badania opinii publicznej pokazują, że to mylna strategia.

PRAWO I POLITYKA

Dlaczego na wstępie nazwałem obecne postępowanie polityków unijnych „PiS-owskim”? W istocie postępują oni podobnie, jak Kaczyński zwykł postępować w sprawach krajowych. Gdy dostrzeżał „imposybilizm”, próbował przełamać go na siłę, „po bandzie”, bez szacunku dla procedur i przepisów i bez tracenia czasu na jakieś finazyjne gry prawne, w przekonaniu, że oczywista dla wszystkich słuszność sprawy przy-

niesie akceptację dla takiego postępowania. Jestem głęboko przekonany, widać to zresztą w różnego rodzaju wypowiedziach, że politycy unijni są nie mniej przekonani, iż złamanie oporu „krnąbrnych” prawicowych rządów w środkowej Europie jest tak ważne dla pogłębienia integracji i ma tak silne poparcie europejskich mediów, a co za tym idzie – opinii publicznej, że na przeszkodzące w tym zapisy traktatowe czy oczywisty brak podstawy prawnej dla podjętych działań można machnąć ręką.

Ciekawe, że rządząca Polską formacja zdaje się zupełnie nie rozumieć, że ma do czynienia z podobną postawą do tej, którą sama przyjmowała w walce z „układem III RP”, co czyni ją wobec brutalnego nacisku Unii bezbronną. Reakcją Polski – Viktor Orbán wydaje się dużo lepiej zorientowany, ale jego możliwości są znacznie od polskich mniejsze – stało się nagle przyjęcie postawy prawnego legitymizmu. Do zdumienia wykazują nasi przedstawiciele, że Unia nie miała prawa podjąć decyzji, które podjęła, i że decyzje te nie mieszczą się w traktatowych kompetencjach.

Miałoby to sens, gdyby było tylko linią propagandową – ale wszystko wskazuje na to, że nasz rząd naprawdę traktuje ten spór tak, jakby miał on zostać rozstrzygnięty przez jakiś sąd, który rozsądzi merytoryczne racje według stanu prawnego Wspólnoty i zasad fair play. Skoro mamy rację – to udowodnimy ją, i tym samym wygramy.

Nie widać żadnego „planu B” na wypadek, gdyby jednak miało się okazać, że rozstrzygną nie argumenty prawne, tylko polityczne. To znaczy, okaże się, że w dzisiejszej Unii Europejskiej poszczególne jej organa mają takie kompetencje, jakie są w stanie, przy wsparciu unijnych potęg, wyegzekwować – a nie, jakie wynikają z niejasnych przeważnie i mało komu znanych zapisów.

Trzeba brać pod uwagę jeszcze jedną okoliczność: wzmożenie eurokratów w kwestii „kontroli praworządności” niewątpliwie wynika też z ich przekonania, że epidemia COVID-19 stanowi wielką szansę, która niebawem, wraz z upowszechnieniem szczepionki, minie i nie wiadomo, kiedy się powtórzy. To zwiększa ich determinację i każde ostrożnie traktować poczucie względnego bezpieczeństwa, w jakim działa nasz rząd. Płynie ono z pewności, że gdy zawetujemy, wraz z Węgry, unijny bu-

dżet, automatycznie obowiązywać będzie prowizorium, które jakoby jest dla nas nawet korzystniejsze.

A co zrobimy, jeśli Unia ponownie pójdzie „na rympał” i z tą samą dezygnacją, z jaką TSUE orzekł o swej nadrzędności nad sądami i konstytucjami krajów członkowskich, uzna, że w tej sytuacji zastosuje nie prowizorium, lecz mechanizm „płatności awaryjnych”, czyli de facto uznaniowego realizowania tylko niektórych elementów budżetu i tylko tym, którym płacić będą chcieli – a więc, na przykład, nie polskim rolnikom? Komu się wtedy poskarżymy, licząc, że przywoła eurokratów do porządku? Mnie przychodzi do głowy tylko zwrócenie się do samego Pana Boga, aby raził wiarołomców gromem z jasnego nieba. Nie wiem, czy przychyli się do prośby.

PRÓBA SIŁ

W takiej sytuacji jedynym wyjściem jest okazanie determinacji. Wszystkie ekonomiczne szacunki – także ze źródeł skrajnie prounijnych, jak np. analizy publikowane przez portal Politico – pokazują, że pieniądze płyną w Unii znacznie bardziej obficie ze wschodu na zachód, w formie zysków zachodnich firm, niż z zachodu na wschód w ramach europejskich funduszy. Jeśli budżetowe weto nie ma być częścią pogroźki, to musi iść za nim gotowość nie tylko wstrzymania wpłat do unijnej kasy polskiej składki, o czym się czasem przebąkuje, lecz także uderzenia w te zyski i odstąpienia od narzuconych przez Unię restrykcji w kontaktach gospodarczych z krajami spoza niej.

Starożytni mówili, że kto chce pokonku, ten musi przygotowywać się do wojny. W nabierającym coraz większej temperatury sporze z eurokracją i lewicowo-liberalnymi elitami UE, sporze, którego osi jest fundamentalna dla Polski sprawa zachowania suwerenności, istotnym czynnikiem jest przekonanie przeciwnika, że nie czujemy się zdani na jego łaskę i niełaskę i że potrafimy w razie potrzeby zrobić coś więcej, niż tylko narzekać, że dzieje się nam krzywda i bezprawie – aż do całkowitego przebudowania architektury naszych sojuszy włącznie. Tylko wtedy liczyć możemy na to, że zwolennicy budowania na gruzach wspólnoty wolnych państw europejskiego superpaństwa o jednoznacznie kolonialnym charakterze poczują się zmuszeni zrezygnować ze swych zamysłów.

© Wszelkie prawa zastrzeżone